

ARKONA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY KULTURZE I SZTUCE

NR 1/2

BYDGOSZCZ, LISTOPAD-GRUDZIEN

ROK 1945

Zygmunt Felczak

O ODNOWĘ KULTURY POLSKIEJ

W czasach istotnie przełomowych najprostsze pojęcia stają się sporne i wieloznaczne. Tyczy się to w pierwszym rzędzie pojęć podstawowych. Takim jest w powszechnym obiegu używany wyraz „kultura”. Wątpliwości muszą się zwiększać, gdy do wyrazu „kultura” dodamy przymiotnik „polska” albo jeszcze więcej „pomorska”.

Czym jest kultura? Kulturą nazywamy proces przebudowy naturalnego ładu świata za pomocą twórczej pracy człowieka. Ładem naturalnym jest struktura przyrody w postaci żywiołów materii martwej, żywej i psychiczno-emocjonalnej człowieka. Człowiek buduje kulturę — to znaczy, że energię ładu naturalnego w sobie i poza sobą przeistacza w nową postać oraz poddaje swej władzy, co uwidacznia się w obiektywnych dziełach. Moglibyśmy kulturę określić także jako proces wiązania energii, zawartej w żywiołach naturalnych świata w nową formę obiektywnej energii, podległą człowiekowi, spełniającemu swoje najwyższe zadanie. Nieznane bliżej żywioły energii psychicznej człowieka wiążemy za pomocą sztuki, filozofii, nauki, pojęć o dobrym i złym, o celach życiowych, o etyce społecznej itp. Dzięki temu chaotyczne popydy zespalają się w doznaniu wartości dobra i prawdy, a następnie przemieniają się w prawidłowe pobudki działania. Jest to dziedzina, którą nazwiemy kulturą duchową. Kultura duchowa jest więc rozbudową systemu środków władztwa w stosunku do naszej wewnętrznej istoty emocjonalno-instynktowej.

Kultura społeczna — to znów rozbudowa środków władztwa wobec oporów, które stawiają żywioły społeczne. Tymi środkami są: system wychowawczy, prawo, państwo, organizacja społeczna itp.

Kultura materialna wreszcie są środki wzmagające władztwo człowieka wobec żywiołów przyrody, a więc: gospodarstwo, narzędzia produkcji, technika wytwórcza itp.

Uogólniając — kultura jest dziełem budowania i wzmagania życia. Tyle najogólniejszych uwag na temat kultury z pogranicza filozofii, kultury i socjologii.

* * *

Narody współczesne są to ogniska wytwarzania kultury. Naród istnieje i ma prawo istnieć dopiero wówczas, gdy wytwarza i rozwija oryginalny typ kultury, będący nowym bogatszym wzorcem. Klasycznym przykładem może tu być Naród Radziecki, który w tragicznym wyteżeniu buduje typ

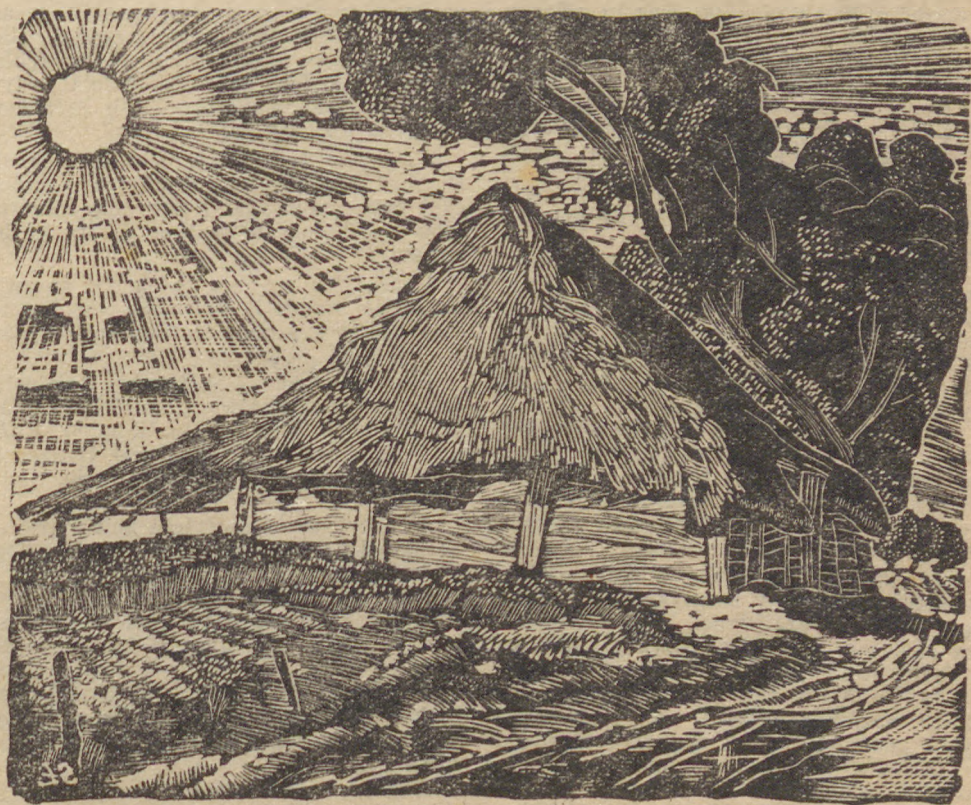
kultury społecznej o wyższej wydajności cywilizacyjnej, dokumentując jej wyższą sprawność życiową we wspaniałym zwycięstwie. W każdym wypadku — sprawdzianem postępu danego ogniska pracy dziejowo-kulturalnej jest jego wydajność i płodność. Jako minimum przyjąć możemy że o zdrowiu danego narodu i jego dzieła kulturalnego świadczy to, czy dane ognisko pracy dziejowotwórczej spełnia warunki swego istnienia i czy może samoistnie trwać wobec naporu trudności weń godzących. Oczywiście, mamy tu na myśli wydajność życiową narodu w jego rozwoju historycznym, obejmującym dłuższy czasokres.

Gdy teraz to kryterium zastosujemy wobec nas samych, tj. wobec kultury polskiej, stwierdzimy fakt w najwyższym stopniu niepokojący.

Od trzech stuleci naród polski ustął w pracy budowania kultury. Nasza kultura duchowa nie daje wzorców, tworzących pełnię życia, jej twory są raczej czymś, co życie psychiczne milionów jednostek usypia. To samo w dziedzinie kultury społecznej, a jeszcze w większym stopniu w kulturze materialnej, gdzie nasz niższy poziom w stosunku do innych narodów tylekroć razy został potwierdzony przez „małe” i wielkie roczniki statystyczne.

W tej przykrej prawdzie, że naród polski ustął w pracy budowania kultury — ma swe źródło niezwykła kierunkowa nasza historii: od mocarstwa Jagiellonów — do Gubernii Generalnej.

Styl życia, który naród polski usiłuje zrealizować w ciągu ostatnich dziesięciu po-



STANISŁAW ŁUCZAK

DRZEWORYT

koleń, jest rozbieżny z tym, co on powinien uczynić, gdyby chciał rozwijać się i wzmacniać swój wkład w dorobek ludzkości. Brzmi to bardzo nieprzyjemnie i przed takim sformułowaniem wszyscy niemal u nas się bronią: Trzeba jednak to podstawowe ogniwo naruszyć, jeśli chcemy być tymi dobrymi lekarzami, co leczą przyczyny choroby, a nie jej objawy. Gdzie więc leżą przyczyny? Upatrywać ich należy w tych przemianach, które nastąpiły w Polsce jeszcze w XVII stuleciu, a które w potocznym języku przywykło się u nas nazywać, ostatecznym zwycięstwem szlacheckich, a przez co rozumieć należy zdegenerowany ideał życiowy w postaci indywidualizmu vegetacyjnego. Indywidualizm vegetacyjny, jak to określa poraz pierwszy Wł. Grabski, przeniknął do reszty naszą kulturę duchową, społeczną i materialną, stając się w końcu osnową polskiego stylu życia. Od XVII stulecia nie hasło **tworzyć**, ale hasło **wegotować** wypełniło całkowicie pragnienia życiowe dziesięciu pokoleń Polaków. Troska o urządzenie siebie — na tym i na tamym świecie, musiała przygłuszyć i też przygłuszyła troskę o państwo, o naród, o wspólnotę. Dla przeciętnego szlachcica z końca XVII-go czy XVIII stulecia i dzisiejszych jego faktycznych czy duchowych potomków, państwo było i jest niepotrzebnym ciężarem, utrudniającym robienie interesów, zarządzanie pałaców, willi czy sklepików.

Indywidualizm vegetacyjny — ta przyczyna naszej dziejowej tragedii i narodowej degradacji jest u nas czymś świętym, otoczonym nimbem ideału narodowego, na podstawie którego wyrokujemy również o wartościach wnoszonych do skarba kultury przez inne narody. Nic więc dziwnego, że jego skutki muszą występować stale.

Tu też a nie gdzieindziej tkwią przyczyny naszej niższej wydajności życiowej, znaczące naszą historię, jako katastrofy polityczne. Gdybyśmy usiłowali wniknąć głębiej, odkryjemy na czym polega koncepcja polskiego indywidualizmu vegetacyjnego. Wyraża on postawę ludzi wyczerpanych wobec życia i zwątpiałych. Pierwszym jego elementem jest przekonanie, że dzieło kultury, jako coś obiektywnego do spełnienia, nie jest wartością najwyższą. Stąd wyrasta swoista postawa „wzgardy dzieła“ wogóle i dalsze jej widma: kult nagiej jednostki, hedonistyczny stosunek do wytworów kultury i jałowy moralizm.

Z tego stanowiska patrząc — można pojąć swoistą atmosferę kultury polskiej, w której żyje przeciętna jednostka i jej obojętny stosunek do wielkich prądów epoki, brak głębszych przeżyć i konsumpcyjny stosunek do sztuki. Ten narodowy styl życia trwa mocą tradycji. Żywe siły w narodzie przeciwstawiają się temu, lecz nie potrafiły dotychczas wykrystalizować czegoś innego. Dopiero dziś kończymy z nim ostatecznie.

Likwidacja widomych jego przeżytków to jednak dopiero wstęp. Odnowa kultury polskiej to kwestia przezwyciężenia tego, co stanowi utajony fundament indywidualizmu vegetacyjnego i wzgardy dzieła, a więc kultu nagiej jednostki, wolnej „od wszystkiego“, od wysiłku, od pracy, od odpowiedzialności i obowiązków wobec państwa.

W tym miejscu nasze spojrzenie zwraca się ku rugiańskiej „Arkonie“, będącej symbolem zupełnie innego doznawania tajemnicy życia.

Musimy czerpać z przebogatycho źródeł dawnej słowiańszczyzny, z ich ożywczej wiary w pełny sens istnienia człowieka i radosnego upojenia się bujnym przepływem życia.

Człowiek nie żyje po to, aby przetrwać i wegotować, lecz aby budować moc kultury.

Doznawanie sensu życia w wytężeniu i owocnej pracy, szukanie głębokiej radości w dokonywaniu dzieła, w budowaniu mocy — oto są pierwiastki naturalistycznej kultury ongiś wspólne Słowianom.

Aby rozwinąć rozpoczęte dzieło rewolucji kulturalnej w Polsce koniecznością się staje nawiązanie do tej postawy życiowej, jaką przed setkami lat reprezentowała „Arkona“.

Zygmunt Felczak

Seweryn Zehner

WYMOWA ODWIECZNYCH NAZW

Rugię nazwano trafnie słowiańskim Delos. — Rugia — to omszałe wiekami muzeum, to skondensowana historia blasków i cieni. Tu rodzi się i doznawali najwyższego kultu bogowie, na tej arenie znośłów i bojów wśród tajemniczych gajów wznosiły się wspaniałe świątynie, pełne bogactw i skarbów. Nad słowiańską Rugią i greckim Delos unoszą się legendarne opary stuleci, obie te wyspy symbolizują odwieczną walkę idei z gwałtem.

Rugia, ta starodawna twierdza słowiańska, około 1075 zwana **Reune Insula** czyli wyspą **Ranów (Rujanów)**, jeziorna, lesista i dość urodzajna — po 800 latach znów opanowana przez Słowian — 'słynęła przede wszystkim ze swej świątyni na przylądku **Arkona**.

Stapał po niej ongiś kmicieć rujanicki: rąta, pasterz skotu, bartnik, rybitwa lub kłodziej. Strzegł jej rycerz Arkony i błękitna fala Bałtyku. Gdy wyspa ta uległa germańskiej przemocy, gdy pramieszkaniec odmienił wiarę i narzecze, pozostał na wsze czasy kobierzec nazw miejscowych.

Przewalały się przez ten „**Ostrów boży**“ wojny i najazdy, pokładli się do grobu Lutyicy, przeżyły się rody i dynastie, posnęli na wieki arcykapłani i woje Arkony, zwietrzały relikwie św. Wita — przetrwały nazwy. Nazwy pełne świeżości i woni.

Znaczyły one zacięte walki Ranów z **Wikingami**, świadczyły zagorzałej czci bóstw (państwowe teokratyczne), chrzczyły kamienne runiczne, wyrażały podziw dla męstwa i wytrwałości mieszkańców.

Już w XII wieku runy bezpowrotnie posągi bogów rujanickich, wróg spalił świątynie, podeptał świętą stanicę, sprofanował Świątowita — delijskiego Apollina — i ukradł skarb arkoński.

Rugia uległa najeźdźcom, ale ocalała honor i na długo jeszcze „duszę słowiańską.

Mowa kmicieców nadal rozbrzmiewa wśród puszczy i moczarów, w kniei i na pobrzeżu, po grodziskach i ostwach. Brzmi jeszcze w wieku XIII i w wieku XIV, lecz coraz słabiej i coraz rzadziej. W wieku XV zamilkła ostatnia słowianka na Rugii, lecz poszczególne wyrazy i zwroty słowiańskie żyją jeszcze długo wśród zniemczonoj ludności, żyją nade wszystko pełne rumieńca nazwy geograficzne. Nie zdołał ich pożreć moloch germański, zdołał je tylko zniekształcić, okaleczyć lub zaciemnić ich treść i znaczenie.

Naliczono tych nazw słowiańskich na Rugii aż 74%, a odgrzebał je teraz w mrówczej pracy ponownie i porozmieszczał na atlasie w brzmieniu polskim mistrz **Kozierowski**.

Odczytując z atlasu te nazwy, sprowadzone do brzmienia polskiego, mniemamy, że jesteśmy w samym centrum polszczyzny.

Oto parę przykładów:

Sońnica (niem. Sassnitz), **Cerekwica** (n. Zürkvitz), **Pańów** (Pantow), **Zalków** (n. Saalkow), **Konotop** (n. Kontop), **Koźle** (n. Kosel), **Kraków** (n. Krakow), **Bydgoszcz** (Bietegast), dalej **Grodznica**, **Rabin**, **Góra**, **Babin** itp.

W pobliżu Arkony leżą miejscowości: **Stankowice**, **Wołyń**, **Święte**, **Mielno**, **Chodecz**, **Brzeg** itd.

Wśród przybyszów rozpoznajemy nazwy duńskie, z którymi Lutyicy toczyli przewlekłe boje, skandynawskie, niemieckie i inne.

Nazwę **Rugia** piszą w starych dokumentach **Rujana**, **Rana**, **Roien** a mieszkańców **Roani**, **Ruani**, **Rani**, **Ruenses**, **Ruglani** i jeszcze inaczej.

Badacze łączyli tę nazwę z pniem słowiańskim **reż** (żyto) lub sprowadzali do znaczenia „miejscza bagnistej“ (**Milewski**) i kniei, ale

ostatecznie wyraz nie został dostatecznie objaśniony.

Niemniej zagadkowa jest **Arkona**, forteca morska na przylądku północnym, gród i świątynia.

Piszą tę nazwę w dokumentach przeróżnie: 1135 **Arkon**, **Archon**, **Arkun**, **Arcon**, 1150 bellum apud **Arkun** in Slavia, 1168 **Archona** itp.

Mozoliło się nad nią wielu językoznawców. Prof. Rudnicki sądzi, że podstawą tej nazwy jest pierwiastek etrusko-małoazjatycki. Ks. Kozierowski, zestawiając jej brzmienie z typem nazw illyrskich jak **Blandona**, **Promona**, italskich jak **Ancona**, greckich jak **Dodona** itd. przypuszcza pochodzenie celtyckie i jest skłonny tłumaczyć ją jako **Pogłowie**, **Przygłowie** czyli jako **przylądek**. Jest bowiem na pobliskim Uznamiu (n. Usedom) miejscowość **Podgłowa**, a znaczenia nazw lubią się powtarzać.

Innego zdania jest Brückner, który przyznaje tej nazwie pochodzenie nordyjskie. Próba Śląskiego wyprowadzenia tej nazwy z prasłowiańszczyzny nie utrzymała się. (**Rokona** od rok, pro-rok). Niemniej jednak możnaby taki wywód ryzykować. Grupa dźwiękowa **ark** — nie zawsze ulegała przestawie w **rak** —. W tym razie — pisze ks. Kozierowski do autora niniejszego artykułu — możnaby porównać Arkonę z naszymi **Rakoniewiczami**, **Rakoniewem** itp. Są to jednak przypuszczenia, bo zupełnie pewnego tłumaczenia nikt dotąd nie podał.

Nad **Arkoną** unosił się nadal tajemnica pradziejów...

I w tym jej urok, i w tym jej czar...

Gdy powłoka zewnętrzna nazwy nie pozwala nam odkryć jej jądra, pozostaje dla nas zespolona z ciałem idea.

A idea Arkony jest:

Walczyc i trwać!

OD ARKONY DO WARSZAWY

...te grzyzy większe są od tebańskich, babilońskich, rzymskich, większe od gruzów niejednego narodu... jest to coś, jak majestat narodu.

Seueryn Goszczyński („Król Zamczyska“).

I

Symbole są nieśmiertelne... Żyje w nich duch narodu, gdy streszczają się w nich jego dzieje. Symbole są relikwiami wielowarstwowych kultur. Odkrywa je człowiek, wieczny rewolucjonista, poszukiwacz nowości w wielowiekowych rzeczywistościach, w zamaryłych czasach na niezmiernych przestrzeniach.

Szukamy symbolicznego znaku — symbolu dla naszej ziemi i z nią związanych dzieł rąk i ducha. I oto wyrasta przed nami w utworach dawno zaginionych — Arkona.

Usiłujemy obnażyć piękno brzoźnienia jej nazwy. Nadaremnie. Ucieka ono w otchłan prawieków. Jest dźwiękiem, może zawołaniem, może hasłem, może czymś zrodzonym w poszumach wichru i w bijących przyprawach morza o przylądek.

Jest jednak jeszcze inna Arkona jawiąca się naszym oczom, na poły osłepłym w niedawno przeżytej rzeczywistości, Arkona o wyraźnych kształtach i wyraźnym obliczu pomimo, że przysypały ją wieki. Arkona pokolenia archeologów, którzy odkryli jej tragiczne dzieje, będące tam, na rubieżach Słowiańszczyzny, najwymowniejszym oskarżeniem przeciw samym odkrywcom. Ta Arkona — to symbol naszych czasów znajdujących w nim wszystko, co mieści się w drugim tragicznym symbolu, który zwiemy jeszcze z potrzeby serca — Warszawa.

Nie zamierzamy się gubić w krętych ścieżkach analogii. Pozostawiamy je zwolennikom wszelkich łatwizn życia, przechodzącego do porządku dziennego nad bezdowolnymi wędrowcami. Natomiast myśli nasze, serca i oczy nasze oczyścić chcemy — jak to czynili najwięksi tragicy po wsze czasy — w nurcie życia i z życiowych źródeł, choćby najbardziej tragicznych, czerpać chcemy treść i formę dla nowego życia. Wierzmy w wieczysty rytm życia. Wiemy, że z chaosu wyłaniają się świąty, że prawdziwa konstytucja ducha wymaga harmonii wszystkich elementów, że ostatecznym celem jest ta śmierć, która niesie w sobie zarody nowego życia.

W tym sensie wiążemy dwa odległe czasem i przestrzenią symbole: Arkona — Warszawa. W nich uświadamiamy sobie rzeczywistość i jej dogłębną istotę — jestestwo samej rzeczywistości. W tragicznym pięknie, zachowanym w utworach, które pozornie należą do nierzeczywistego fantastyczno-romantycznego świata (jak wszelkiego rodzaju ruiny i cmentarzyska) dopatrujemy się treści człowieka, tworzącego dzieło wyrosłe z ziemi i będące jej częścią wieloznaczną — duchowo i materialnie. Bo taka częśćka były niewątpliwie oba miejsca wrastające dziś w naszą świadomość symbolicznymi znakami swych tragedii, odległych od siebie bezmała ósmiu stuleciami.

II

Pierwsze promienie wschodzącego słońca pozdrowiały świątynię Światowita w słowiańskiej Arkonie...

W ten sposób staro-baśniowy można byłoby rozpocząć opowieść o ostatniej strażnicy pogańskiego kultu prastarego bóstwa niebiańskiego, którego olbrzymi posąg

o czterech twarzach patrzył na wszystkie strony świata rugiańskiego przylądka.

Albo tłumacząc łacinę źródłowej kroniki Saxosa Grammaticus'a, dziejopisa i najpewniej naocznego świadka pogromu i zniszczenia arkońskiej warowni, należałoby przedstawić w nowoczesnym faktomontażu barwny scenariusz owej odległej tragedii z rubieży Słowiańszczyzny.

Wreszcie podmalowawszy tło historyczne, na którym rozgrywa się w długowiecznych bojach walka dwóch światów, dwóch kultur i dwóch rzeczywistości, pierwszeństwo w przedstawieniu tych spraw trzeba byłoby oddać tej ostatniej, tak nam, niezależnie od tematu, bliskiej, perspektywie najbliższej, bo wszechstronnie i dogłębnie przeżytej.

Atoli wyobraźnia, zdyscyplinowana rzeczywistością faktów o charakterze historycznym, poszukuje, jak zawsze i wszędzie dla każdego tworu artystycznego, formy konkretnej. Zobaczyć ją może zarówno w kilku głazach, tworzących przed wiekami fundament dziesięciometrowego posągu Swatowita, jak i w blahym urywku wspomnianej kroniki: „Pedes humo contigui cernebantur eorum basi intra solum latente“.

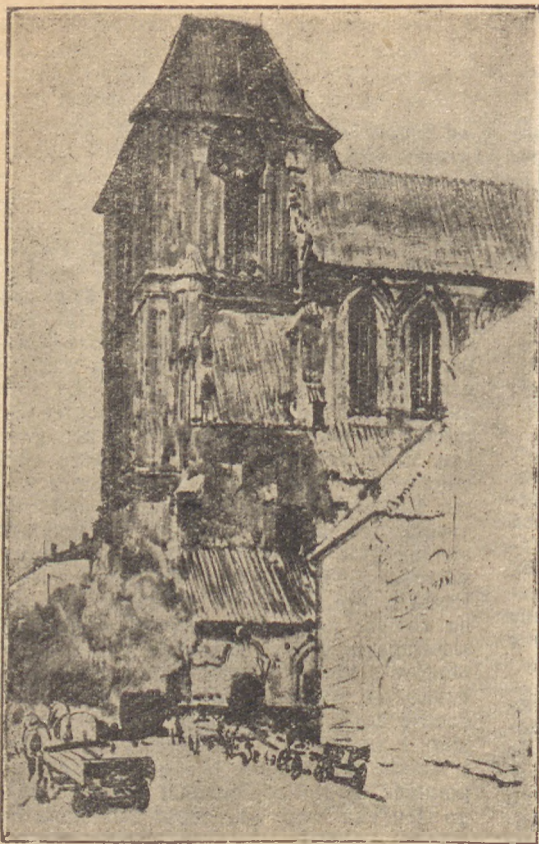
Podobnie zatem jak ważną jest wiedza o zdarzeniach, które miały miejsce między 1068 a 1168 r., a w którym to okresie stuletnim plemiona zasiedlały już pomiędzy Łabą a Odrą stały się przedmiotem planowych działań zaborczych ze strony germańskiej, tak może nie mniej ważne są dotykane dowody w formach-relikwach, które po 877 latach potrafią wyrwać z ust archeologa niemieckiego (Karola Schuchhardta), uszczęśliwionego odkryciem zaginionej Radgoszczy, radosny okrzyk: „Co za niesłychany triumf polityczny i religijny!“ Boć trzeba wiedzieć, że z pierwszą datą związany jest pogrom związkowej i wyrocznej świątyni Swaróżyca przez działającego w imieniu młodocianego Henryka IV, Burcharda, „walecznego“ biskupa z Halberstadtu. On to jadąc na białym świątynnym koniu na czele swej drużyny uwodził z lutyckiego państwa kapłanów tak wielkie skarby, że do niedawna jeszcze w północnych Niemczech (jak stwierdza wspomniany archeolog) „nieświadomy“ lud tamtejszy o złotych pierścieniach rymowane piosenki śpiewał. Dźwięczą nam one w synchronistycznym okrzyku badacza i w unowocześnionym rytmie drużyn SS-ianów, zdzierających z palców ślubne obrączki półżywym mieszkańcom nieopgrzebanej Stolicy.

A że wskutek germańskiej furii niszczenia zaginęły ślady i nawet nazwy słowiańskich grodów, stąd potomkowie praniemieckich niszczycieli, owi szczęśliwi odkrywcy, kilkaset lat (jak w wypadku Radgoszczy od 1519 r.) szukać będą za obiektami swych zainteresowań — nieraz nadaremnie. Wszak: „Abierunt in terram Kycinorum et Circipanorum et pervagati sunt terram hostilem omnia vastantes igne et gladio. Fannum quoque celeberrimum cum ydolis et omni superstitione demoliti sunt“ — napisze w swej kronice Helmhold, a inne zapiski kronikarskie i pamiętnikarskie (np. biskupa Thietmara z Merseburga lub Adama z Bre-

my) o zupełnej zagładzie bogatych i kwitujących grodów słowiańskich w IX — XI w. znajdą znów potwierdzenie po dziesięciu stuleciach w nikłych znaleziskach (głównie ceramicznych) i w zaciekłych poszukiwaniach archeologów za... topografią zaginionych grodów, warowni, świątyń. „Es sieht aus als wenn die germanischen Eroberer (cytujeiny nazwanego entuzjaste) an dem grossen slavischen Heiligtum ihre ganze christliche Wut ausgelassen und in seiner weiten Umgebung alles mit Stumpf und Stiel ausgerottet hätten“. Nie tylko tak wygląda, ale tak było w tamtej i niedawnej rzeczywistości na przestrzeni nie tylko między Piana i Morzem Wsch. (o czym świadczą na zawsze pogrzebane, nawet w nazwach słowiańskie grody, skrzętnie przez archeologów z kronik rejestrowane), ale tak się działo od Wisły aż po Wolgę, gdy nowoczesne hordy hitlerowskie niwecząc wszystko i wszystkich zamieniały całe kraje i miasta w pustynie. Nie od rzeczy przypomnieć, że po zdobyciach księcia saskiego Henryka Lwa, gdy część zachodnia Pomorza należała już do Sasów a część wschodnia do Polski, resztki słowiańskiego pogaństwa schroniły się na Rugie. Tutaj to Arkona objęła dawną rolę Radgoszczy — władztwa nad krajem. Ona przejęła narodową chorągiew; z wyroczni jej żerców-kapłanów padały słowa pokoju i wezwania wojenne; z magiczno-wróźbiarskich przepowiedni i z kultu świątych wizerunków rozwieszonych na zewnętrznych ścianach (chramu o purpurowym dachu) zastąpiła nawet u obcych władców, którzy składali ogromnemu posagowi — bóstwu drogocenne dary. Ale ci sami zamaskowani bogobojni ofiarodawcy wielokrotnie próbowali ją zdobyć i zniszczyć. Po wielu nieudanych próbach (w latach 1136, 1159 i 1166) cel ten osiągnął duński król Waldemar ze swym „wielkim“ kanclerzem i wodzem, biskupem Absalonem z Zelandii. Oni to wspólnie ze wspomnianym Henrykiem Lwem a w imię chrystianizacji rugiańskich mieszkańców starli (w 1168 r.) z powierzonej im ostateczną warownię pogańskiej Słowiańszczyzny — słoneczną Arkonę.

„Arcon oppidum, vetusto simulacri cuiusdam cultu inclutum“ — czytamy w obszernej i szczegółowej relacji Saxosa, na podstawie której otrzymujemy obiektywny obraz arkońskiej twierdzy i jej świątyni z 10-cio-metrowym posągiem Światowita (Svantovitus), jego kultu oraz opis owej „bellum apud Arcon in Slavia“, która przyniosła całkowite zniszczenie i unicestwienie miejsca i dzieł ludzkich.

I znów konkretność słów kronikarza potwierdzi jeszcze po blisko 8-miu wiekach archeologia, znajdująca jedynie urbanistyczne ślady starosłowiańskiej architektury — owe resztki po 5-cio metrowej grubości fundamentach kwadratowej świątyni drewnianej o 4-ch słupach wewnętrznych i jej ścian, głęboką posadę drewnianego posągu, naturalny plan 50-cio metrowego pasa domostw (zapewne dla straży świątynnej), rzut wolnego placu (dla obchodów i zebrania) i inne elementy tego sakralno-wojskowego budownictwa, ujęte w potężny pierścień ziemnego wału, który bronił wraz z jedną wieżą — bramą wejściową przystępu do środka warowni, położo-



L. WYCZOŁKOWSKI „SW. JAN W TORUNIU”

nej wysoko (43 m. n. p. m.) na skalnym przylądku, niedostępnym od morza.

Wiąząc części składowe w całość odtworzaną w swej wyobraźni, a przy pomocy konkretności pisarza (z XII w.) i archeologa (z XX w.), obraz utrwałonego w ziemi słowiańskiego grodu, rzeczywistość form i realizm akcji jego niszczenia. Ale w tej ostatniej chcemy jeszcze zwrócić uwagę na jeden „szczegół” z dziejów oblężenia i zdobycia arkońskiej twierdzy — świątyni, kiedy to nazajutrz po jej upadku dwaj znakomici rycerze (Erbernus i Suno) z rozkazu królewskiego stopy posągu głęboko podcięli a następnie rozwalili ścianę chramu wywlekli posąg na powozach i zaciągnęli go do obozu na pastwę żołdactwa, gdzie uległ on, pocięty na kłody i polana, płomieniom. Następnie spalono świątynię i ustalono termin oddania skarba. Arkona oskarża poprzez wieki... symbolem ocalałej nazwy.

III

„Czy uczeni, którzy za ileś tam wieków odgrzebią spod stwardniałych warstw jakieś ciało bez butów, z karabinem w dłoni, czyjąś głowę w stalowym hełmie, opartą o szczyłek barykady pod murem z dziwnym rysunkiem — czy potrafią przemknąć posępną zagadkę tych dziejów i niepojętą duszę miasta, które umiało łączyć wytrwałość i nierozwagę, miłosierdzie z wyzyskiem, przeczyć swej własnej wzniosłości i lichoczyć okupywać najwyższym męczeństwem?”

Wyrwaliśmy te serdecznie troskliwe słowa z „Miasta niepochowanego” Kazimierza Brandysa („Odrodzenie” nr 17 z br.), ażeby nimi z dalekiej perspektywy pogrzebanej Arkony — zakreślić symboliczny łuk: z jasnego ostrowa morskiego do oślepiej Stolicy.

Archeologia Warszawy urodziła się nazajutrz po śmierci tego miasta, a może jeszcze przed ostatnim oddechem jego żywota. I czuwa nad wielkim szkieletem miasta pospołu z muzeologią i urbanistyką, stojąc na straży nie tylko jego przeszłości, lecz przede wszystkim jego przyszłego życia, wyczarowanego z ruin.

Tak, życia z ruin i życia na ruinach.

Wiemy, dobrze wiemy, że architektura życia wyprzedza właściwą architekturę. Nigdzie i nigdy jednak nowe życie tak szybko i tak głęboko nie wkorzeniło się w stare, rozdarte i martwe mury jak właśnie tutaj w historycznej Warszawie, która z nędznej osady rybackiej nad Wisłą, jaką była w zaraniu swego istnienia, stała się w nawarstwieniach wieków milionowym miastem Europy. Może te przyrodzone i przyrodnicze warunki dają mu siłę odradzania? Może właśnie dzisiejsi uczeni-archeolodzy zazdrośni o „współczesne” relikty, w których widzą i czują jeszcze drgające komórki i tkanki organiczmu miasta, nie chcą swym następcom o sercach niezłych na wymowę pomników przeszłości, pozostawić ruin, pod którymi uległo pokolenie w obronie najbardziej realnych wartości życia: wolności i człowieczeństwa? Może działają tutaj jeszcze ważniejsze, bardziej realne czynniki, gospodarcze, społeczne, polityczne, religijne, ażeby na tym samym miejscu wskrzesić wielkie miasto, powtórzyć jego dawne oblicze (nad czym czuwają owi archeolodzy-konserwatorzy) a przecież świeżymi sokami wypełnić odradzający się organizm? Nie wiemy.

Wszak sami bierzemy udział w narastającej w nas woli kształtowania miasta według jakichś praw wewnętrznych raczej, niż według schematycznych planów. Powstaje zatem w naszych oczach i ze zbiorowej woli narodu twór, który musi przewyciężyć upierne moce ruin, wyzbyć się ich romantycznego piękna, a ocalić z zapomnienia jedynie te formy, które były w nawarstwieniach wieków istotnymi wartościami fizjonomii i duszy wielowiekowego miasta.

Marian Turwid

REMUS PRZECIWKO SMĘTKOWI

Pomylił się, tragicznie pomylił się Stefan Żeromski, gdy na ostatnich kartach „Wiatru od morza” zapewniał, że oto — „Smętek”, symbol ponurej germańskiej nienawiści do wszystkiego co słowiańskie, opuścił już był kraj nasz na zawsze. „Tu już nie ma i nie będzie dla mnie roboty” — oświadczył na odjeźdźnym zły duch polskiego Zachodu. „Markgrafowi Geronowi zastąpił drogę jakiś ciemny i podstępny Mieszko. Spojrzeli sobie w oczy — i o dziwo! postanowili zawrzeć zgodę. Jeszcze jej nie zawarli, ale ją zawrą...” — przewidywał Żeromski na kilkanaście lat przed — najpotworniejszym w dziejach najazdem Gerona-Hitlera na Polskę. I kiedy w najczarniejszych latach okupacji, ukrywającemu się przed siepaczkami Smętka, zdarzyło mi się ponownie czytać „Wiatr od morza” — jakże odmienny był rodzaj mojej reakcji na końcowe zwłaszcza rozdziały książki. W okresie, gdy zachłanność niemiecka przekroczyła już nie tylko Wartę i Wisłę ale Dniepr i Don, jakąż bezbrzeżną uderzały

To wielkie i odpowiedzialne zadanie jest największą i najtrudniejszą naszą rzeczywistością, z której musimy zdać sprawę przed całym światem.

Warszawa ma być żywym pomnikiem zdolnego do życia narodu.

„Trzeba pisać o Warszawie. Litery naszych słów, wiersze strof, szeregi zdań w kolumnach — powinny (nawołuje cyt. autor) układać się w kształt wypalonych okien Brackiej, wykreślać szczytów kontur ruin Nowego Świata i wawozów Staromiejskich cegieł...”

Istotnie... Trzeba pisać o Warszawie, aby z tej otwartej i czytelnej jeszcze księgi ruin najdalsze pokolenia mogły odczytać przeżyta, przez nas prawdę o furii germańskiej, która osiągnęła tutaj swój najpodlejszy wyraz: niszczenia dla samego niszczenia; aby fachowców w dziele zniszczenia i późniejszych odkrywców tegoż ludzkości raz na zawsze unieszkodliwiła; aby męczeństwo miasta, w którym skończyła bezpowrotnie jego uroda, nie poszło w niepamięć i nie zostało pominięte w wielkiej księdze martyrologii Polski, ludzi, kultury i sztuki. O tym wszystkim trzeba pisać a wraz z inwentaryzacją szczytków „Dawnej Warszawy” inwentaryzować należy nawet najmniejsze strzępki własnych i cudzych przeżyć i doznań z tą niedawną Warszawą związane.

Lecz nie tracąc z oczu i serca Warszawy męczenniczej i zamęczonej — powinnością naszą jest już budować w sobie — Nową Warszawę, ów nowy symbol odradzającego się Narodu.

IV

Oczami arkońskiego Światowita, objędującego nocą na białym koniu (jak opowiada niewyczerpana kronika) włości podlegające jego władztwu i mocy, widzieliśmy tragiczne dzieje powalonych i zbeszczeszczonych bóstw, krajów, ludów i grodów.

Odrodzona historia wyrokuję negatywnie o wszystkich narodach wierzących w magię wróżebną. Pozytyw rzeczywistości wskazuje inną drogę: Nad ruinami i zwaliskami, nad pogrzebanymi i niepochowanymi miastami unosi się myśl przebudowy ludzkiego jestestwa.

Jerzy Remer

najwłaściwie supozycje wielkiego pisarza, który na temat potencjału ekspansyjności niemieckiej pisał w roku 1922 co następuje: „Stała już w miejscu wasza siła i dalej na wschód się nie pomknie”. — „...Niemcy się polszczą! Przypominają sobie dawne swoje słowiańskie pochodzenie i — horrenda się dzieją”.

W rzeczy samej — horrenda się dzieją, ale jakże przerażająco odmiennie od tych, które przewidywał autor „Urody Życia”. Niemcy nie tylko, że się nie polszczyli, ale — zabrali się z niesamowitą energią do — „eindeutschowania” Polaków. Ci sami Niemcy, którzy w większości jako obywatele polscy z szatańską zreżnością latami całymi przwgtowywali — triumfalny powrót Smętka. A Mieszko ery hitlerowskiej okazał się, owszem, „ciemny” ale niestety zgła nie „podstępny”. Masa zaś niemiecka, o której twierdził Żeromski, że „już jej ani Niedźwiedź, ani Fryc, ani Bismarck nie udepce”, ...bowiem wyzwołała się spod władzy tyranów i „stała się sobą”, ta masa istotnie „stała się sobą”. Obnażyła całą

swa moralną potworność i na każde skinienie godnego siebie Führera skwapliwie „na zimno“ mordowała, grabiła i prześladowała plemię polskie od „krwawej niedzieli bydgoskiej“ począwszy, poprzez wszystkie dni nieludzkiej okupacji.

A wielki nasz pisarz, na kilkanaście lat zaledwie przed tą nienotowaną w dziejach katastrofą, tak się ludził, takie wysnuwał wnioski, tak pisał pod adresem Niemców: „Maluczko, a ockniecie się w ramionach braci Polaków... Przebaczyście sobie nawzajem winy, odpuście grzechy, zapomniecie starą przeszłość, podacie sobie prawie...“

O sancta simplicitas! Nie, raczej: O święte, czyste, ludzkość całą miłujące serce wielkiego polskiego pisarza!

Pomylił się, tragicznie pomylił się Żeromski — ale nie tylko on/sam. W służbie bieżących a najżywotniejszych interesów narodu nie opisała ogromna większość naszych znanych i uznanych pisarzy. Pod kreślam błędność horoskopów jednego z najwybitniejszych nie po to, by cień jakikolwiek rzucić na czcigodne jego dzieło, ale by na przykładzie najbardziej wyrazistym wykazać do jakiego stopnia w ostatnich dziesiątkach lat zawiodła czołowa twórczość polska. Jeśli słuszny jest przyrównywanie twórczości artystycznej do — naiczulszego, nieprzerwanie czuwającego sejsmografu — to sejsmograf polski zawiodł na całej niemal linii. Poza kilkoma wyjątkami — zbliżania się najstraszliwszego w historii narodu kataklizmu nie zanotował prawie wcale, albo notować zaczął dopiero wówczas, gdy było już za późno. Gdy za późno było także na odczytanie tych kilku, niestety ledwo dostrzegalnych znaków ostrzegawczych, które w aparaturze sejsmografu twórczości polskiej pojawiły się były na czas.

I tak — w tych samych latach, w których jeden z najgłośniejszych pisarzy naszych meldował ostateczne zniknięcie Smętka z Polski, w tych samych latach jeden z najmniej głośniejszych podejmował na nowo śmiertelną z nim walkę. Aleksander Majkowski wznawiał „Gryfa“. Tego samego „Gryfa“, którego pierwszy zeszyt ukazał się był na Pomorzu w r. 1908. a miał na celu jak najściślejsze uczuciowe związanie Polaków z zachodnich kresów z ich podłożem ojczystym, ich ziemią rodzinną. — „Jeśli uda się“, — pisał redaktor „Gryfa“, — „obcej ręce wykorzenić nas z tego podkładu, wówczas fala wynaradawiająca uniesie nas tam, kędy porwała zaginionych braci naszych na Zachodzie, nad Odrą i Elbą“.

Ze Smętek czynił wszystko, że wychodził wprost ze skóry, aby wodzowi Kaszubszczyzny i jednemu z czołowych duchów Pomorza i Polski Zachodniej uniemożliwić jego misję — to oczywiście. Ale — kowalski syn z Kościerzyny był po kaszubsku uparty. I sprawił, że mimo niezliczonych szykan, utrudnień i przeszkód ze strony smętkowych agentów właśnie na Kaszubszczyźnie ukazywać się zaczął jedyny podówczas periodyk artystyczno-kulturalny na cały zabór pruski. Zadanie jego było proste i wielkie: Budzić biernych, otwierać oczy i wzywać do wznoszenia tamy przeciw rosnącej bez ustanku a coraz groźniejszej fali germanizacji.

W nierównej walce, po czterech latach zmagania, musiał „Gryf“ ulec, jak uległy przed nim, również przez Aleksandra Majkowskiego redagowane: „Gazeta Gdańska“ i „Družba“. Jednak pisma te, choć padły, przecieży zrobiły swoje. Cztery roczniki „Gryfa“ położono na stole wersalskim i jako niezłomny dowód polskości kultury Pomorza.

Można było przypuszczać, że po — Konferencji Pokojowej w Wersalu, w wolnym skrawku Pomorza będzie mógł Aleksander Majkowski z gronem swych współpracowników pełnić swą misję już bez utrudnień i przeszkód. Cóż — kiedy Smętek czuwał. Nie atakując wprost ale klucząc i kołując, z szatańską wręcz zręcznością metod zdołał uśpić i oszukać nawet wielkie i na sprawy narodu zgoła nieobojętne serca. Nie zdołał podejść, nie zdołał „oszukać“ tylko tych, którzy w walce z nim zaprawieni byli od pokoleń, którzy w pełni zdawali sobie sprawę z potwornej grozy nowej okupacji krzyżackiej.

Wraz z rosnącym z roku na rok niebezpieczeństwem niemieckim rosła ilość znaków ostrzegawczych. Od nadbałtyckiego „Jantara“, po przez wejherowską „Klekę“, kartuskie „Kaszuby“ i „Zrzesz Kaszebską“, tczewskie „Kociewie“, grudziądzkie „Od naszego morza“, chojnickie „Zabory“, toruńską „Tekę Pomorską“, bydgoski „Przegląd“, kujawskiego „Piasta“, „Wici Wielkopolskie“ aż chyba po — „Zaranie Śląskie“, szły głosy zwracające mniej lub więcej wyraźnie uwagę na konieczność jak najbaczniejszego skierowania spojrzeń całej Polski na — Zachód. Znaki ostrzegawcze zapalano, niestety, daremnie. Głosy Ziem Zachodnich nie przedostawały się prawie wcale po za ciasne granice regionów. Lekceważono je, uważano za „strachy na Lachy“ i zbywano na milczenie. Nie dziw więc, że również bez żadnego niemal echa przeszedł fakt ukazania się w r. 1930 pierwszej tomu pierwszej powieści kaszubskiej. W dziele tym, noszącym tytuł: „Zece i przigode Remusa“ a skomponowanym na najpiękniejszych motywach pomorskiej twórczości ludowej postanowił Aleksander Majkowski pomorskiemu „Smętkowi“ przeciwstawić swego „Remusa“. Pragnął pokazać dobrego ducha ziem nadmorskich w walce z przeciwnościami, które przez wieki całe okrutnej okupacji uniemożliwiały swobodne ujawnienie się najgłębszych wartości duszy pomorskiej.

Zamiar powiódł się w pełni. Lektura Remusa sprawia zachwycające wrażenie spotkania się z czymś zupełnie nowym a jednocześnie ogromnie nam uczuciowo bliskim. Widzi się wręcz, jak oto na palecie literatury polskiej położony został kolor zupełnie dotąd nieznan, kolor świetny a nieodzowny, by oddać istotę tych ziem polskich, które stanowiły dotąd białą plamę na mapie artystycznej geografii polskiej.

Ani pełnowartościowe walory artystyczne dzieła, ani paląca aktualność zagadnień — nie zdołały przebić muru karygodnej już zaiste obojętności. Remusowi w jego śmiertelnych zapasach ze Smętkiem nie przysłała niestety na czas z sukcesem cała Polska. Wolała wierzyć, wolała ludzić się, że „zły duch Pomorza“ opuścił był kraj nasz bezpowrotnie. A jej przedstawiciel o-

ficjalny, ówczesny starosta kartuski, groził autorowi Remusa — wysłaniem go do — Berez. Za szkodliwą dla Państwa działalność!!! Jakżeż w tej właśnie godzinie triumfować musiał Smętek!

Odwiedziłem twórcę „Remusa“ w ostatnich jego miesiącach przed śmiercią. Mieszkał w Kartuzach. Kiedym wyraził podziw dla nieopisanego uroku tej czarownej stolicy Kaszub, wódz Kaszubszczyzny aż się zachnął: „stolica Kaszub nie są przecieży wcale Kartuzy; stolicą Kaszub jest — Gdańsk!“

I o tej stolicy ukochanej mówił z ogromną troską, boć w Gdańsku panoszył się podówczas i rozrastał niesamowicie — Forster, „komtur piekielny“, drwiący z nieopisanej polskiej ślepoty. Pełen złowrogich przeczuć, zimordowany całozyciową walką i wyczerpany chorobą kończył autor remusowych przygód swe epokowe dzieło i swój zarazem testament.

Nie dożył najstraszliwszego z najazdów Smętka na Pomorze i na całą Polskę. Ale dożył Remus, symbol bohaterstwa i ofiary. Przetrwał wszystko. I „krwawą niedzielę“ i „Stutthoff“ i „Potulice“ i cały ten okropny obóz koncentracyjny nazywający się „Westpreussen“. Przetrwał i żyje. Nie zwracano nań uwagi przed wojną, boć Polak mądry jest, jak chce przysłówie „po szkodzi“. Niechże więc po tej najpotworniejszej ze wszystkich w dziejach plenięcia szkód stanie się mądrym na czas i pośpieszy niezwłocznie Remusowi z sukcesem. Bo Smętek, choć straszliwą poniósł klęskę, przecieży bynajmniej z oblicza ziemi nie zniknął. I walka Remusa ze Smętkiem, walka na śmierć i życie nie skończyła się wbrew pozorom ale — trwa.



L. WYCZÓLKOWSKI

„CIS Z BORÓW TUCHOLSKICH“

U WRÓT SŁOWIAŃSKIEJ PRZYSZŁOŚCI

„Wszystko na świecie w pewnym zmienia się porządku
I postępuje ciągle do swego umiaru,
Nic nie dzieje się ślepo, natura ma cele,
Do nich musi koniecznie dążyć wsze stworzenie...”
(St. Staszic, *Ród ludzki, Dzieła**) 1819—20, tom IX).

Silne poczucie ewolucji i determinacji w działaniu praw przyrody znalazło swój głęboki wyraz w poglądach słowianofilskich wielkiego syna zachodniej Polski, który właśnie uchodzi w tej dziedzinie za jednego z pierwszych twórców systemu historiozoficznego. Upadek Napoleona i utworzenie Królestwa Kongresowego wzmożyły na gruncie polskim budzące się na początku XIX stulecia przeświadczenie o nadchodzącej dla całej Słowiańszczyzny nowej erze. Wczesna polska myśl słowianofilska, wegetująca w atmosferze niewoli i depresji duchowej społeczeństwa, chwilejną i niezdecydowaną, podminowana buntem przeciwko uciskowi carskiej Rosji, wiazała dotychczas częstokroć swą przyszłość ze słowiańskim zachodem i osobą Napoleona.

Istniał jednakże i odmienny prąd reprezentowany między innymi przez ks. Adama Czartoryskiego, który przyszłość świata słowiańskiego widział w oparciu o Rosję carską, mogącą się poszczycić typem względnie humanitarnego i oświeconego władcy, jakim był Aleksander I.

Stąd też stosunkowo znośniejsze położenie ziem pod zaborem rosyjskim w porównaniu z gwałtownym uciskiem Austrii i Prus zwracało odruchowo oczy społeczeństwa polskiego w stronę Rosji a reakcja przeciw germanizmowi potęgowała poczucie braterstwa wszystkich Słowian. Wspaniałe blask gwiazdy napoleońskiej zgasł właśnie nad pokrytymi lodami i śniegiem obszarami wielkiej Rosji, przysnęły nadzieje, łączone z osobą Bonapartego i jednocześnie idea jedności słowiańskiej, w myśl której wzajemny stosunek Rosji i Polski układał się na zasadzie plemiennego braterstwa, nabrał nowych rumieńców.

Świadectwem szczerej i głębokiej wiary w nadejście epoki hegemonii słowiańskiej pod egidą Rosji był „Hymn do Boga” Pawła Woronicza, który potrafił nawet zarzucić sprzeczności interesów polsko-rosyjskich, wynikających z absolutyzmu wschodniego i w połączeniu „dwóch bratnich narodów” dopatrywał się zapowiedzi „nastania złotego wieku”.

Ten dziejowy mesjanizm słowiański czerpał jednak swe soki żywotne z idealistyczno-biblijnych przesłanek, które siłą rzeczy spychały go w odmet mglistej mistyfikacji. Prymityw wieszczbiarski, wsparty na sugestjach i marzeniach, rozpanoszył się z łatwością w warunkach nienormalnego i wypaczonego niewolą społecznego bytu, odsunął myśl ludzką od niezbędnej przy budowaniu wszelkich teorii konfrontacji z historyczną rzeczywistością i przyoblekł ją w napuszoną szatę megalomanii narodowej. Z wnętrza uniecznionych klęskami psychiki wyrastała świetlana wizja wyidealizowanej przeszłości słowiańskiej, wystrojonej w promienne barwy pogodnej idylli. Najwzschroniejszy obraz takiej przeszłości znajdujemy w dziełach współczesnego historyka wielkopolskiego Wawrzyńca Surowieckiego („Śledzenie początków narodów słowiańskich” 1824). Dusza słowiańska ukazana została jako nieprzebrany skarbiec moralnych wartości, predestynujących cały szczepek zgodnie z teorią Herdera do wyjątkowej misji cywilizacyjnej. Wiara w wiel-

kie posłannictwo Słowian, osnuta na tle nieprzemijających wartości moralnych ducha plemiennego, jest ośrodkiem wszelkich teorii słowianofilskich tego okresu. Powrót zaś do tych wartości i ich rozwój uważa się za drogę do odrodzenia nie tylko Polski ale i europejskiej kultury. Wyczerpująco rozwinął tę myśl wychodzący w Paryżu, redagowany przez Jana Czyńskiego, „Polak” w rtykule „Wiara polityczna Polaka”, utożsamiając ją z realizacją zasady równości społecznej i wolności, których pionierami nieśli być właśnie Słowianie:

„Słowiańskie pokolenia gościnne, braterskie, pełne poświęcenia, młode, jędrne, energiczną duszą natchnione, do wielkich przeznaczone są czynów, im nadobna przyszłość należy... Słowianie odrodzą Europę jak tyle razy Wschód odradzał egoistyczny handlarski Zachód, połączą Europę z Azją”. (Paryż 1837 r.)

Nieuniknioną konsekwencją zapatrzenia się w przeszłość słowiańską był analogiczny kierunek w sferze polskich pojęć narodowych, który również uprawiał dość natrętnie apoteozę przeszłości i z niej starał się czerpać zadatki na przyszłość. Polskę przy tym niekiedy uważało się wprost za wykładnik wartości, drzemających od prawieków w duszy słowiańskiej, które ją upoważniają do podjęcia zaszczytnej roli przewodnika i głównego realizatora dziejowej nisji. Ten przerost ambicji narodowych, tak namienny dla okresu politycznego upadku, w istocie powodował w poglądach słowianofilskich konflikt między uczuciem narodowym a plemiennym i wykluczał bezwzględnie współdziałanie Rosji. Od tej wysoce emocjonalnej postawy odbiega zasadniczo myśl słowianofilska Staszica, wprowadzająca swe tezy na podstawie pozornie słusznej wymowy faktów historycznych. Choć poglądy Staszica, zrodzone ze szczerego patriotyzmu i głębokiej troski o przyszłość jczyzny, w zasadzie również mają charakter metafizycznych przesłanek i ponętnych insynuacji, to jednak budzą one zainteresowanie ze względu na ścisłą logikę i samą metodę, przypominającą dialektykę filozofii dziejów Hegla. Trafność tej analogii potwierdza również sam system filozofii Hegla, którego wspaniałej dialektyce zabrakło także materialistycznej powłoki. Mimo że myśl słowianofilska autora „Rodu ludzkiego” przybrana jest w szatę idealizmu, to jednak swą przenikliwością zda się przebić pomrok dziejów, demaskować ich mechanikę i stąpać po gruncie empirii. **)

Jądrem systemu heglowskiego był ów *spiritus movens* dziejów, objawiający się na zasadzie trichotomii (teza, antyteza, synteza) w poszczególnych narodach i szczepek. Z chwilą gdy taki duch dziejów objawił się w łonie jakiegoś narodu, wydobywał z niego wszystkie wartości, doprowadzał je do wydoskonalenia a sam naród stawał na szczycie największego w historii powodzenia, które jednocześnie było kresem jego rozwoju i momentem wystąpienia nowego ducha w łonie innego narodu historycznego. W ówczesnych słowianofilskich teoriach myśl powyższa budziła silne sugestie i pojęcia o wielkiej syntetycznej epoce Słowiańszczyzny jako rodziny narodów,

która, wyprzedzona przez plemiona romańskie i germańskie, nie wypowiedziała się jeszcze dotąd w historii. Przyjmując za fakt propagowany przez romantyzm kryzys współczesnej kultury Staszic dokonał syntezy dorobku historycznego trzech głównych szczepek europejskich i doszedł do wniosku, że wobec rozłamu wewnętrznego szczepek romańsko-germańskich hegemonia przechodzi w chwili obecnej w ręce Słowian. Niestety uzasadnienie historiozoficzne tej tezy przeniósł w sferę idealistyczno-mistycznych zagadnień, które, ignorując dziedzinę życia ekonomiczno-społecznego, pozwalały przemawiać tonem błyskotliwej i ponętnej wróżby, osnutej na pozorach epokowej wojny słowiańskiej w roku 1812. Logicznym rezultatem powyższego stanowiska było wyniesienie Rosji na piedestał przewodniczki i realizatorki powszechnego zjednoczenia narodów słowiańskich, naturalnie w ramach ustroju absolutystycznego.

„Połączenie i zrzeszenie Słowian w carstwie rosyjskim — pisał Staszic — spowoduje zrzeszenie Europy, zniszczy w niej wojny i nada tej części świata stały pokój”. Wyidealizowana teoria Staszica, natchniona patosem plemiennego patriotyzmu, przeszła ponad współczesną rzeczywistością, pomijając analizę istoty cywilizacji, której nowymi twórcami mieli stać się Słowianie. Jednostronne ujęcie zdobyczy cywilizacyjnych jako sumy pewnych wartości etycznych, wprowadzonych do organizmu narodowego za pomocą ducha dziejów, bagatelizowało doniosłą rolę wzajemnych stosunków społecznych i narodowych, będących wynikiem odpowiedniego stanu materialnych sił wytwórczych.

W warunkach feudalnej gospodarki i absolutyzmu, pozbawionego pierwiastków progresywnych, problem wolności człowieka, stanowiący kryterium postępu cywilizacji, był fikcją i złudnym frazesem. Stąd też misją dziejową Słowian oparta o carską Rosję mogła w oczach historii nosić jedynie charakter sentymentalnej mrzonki. Wzięte in abstracto przeznaczenia Słowiańszczyzny, wobec niemożności wskazania ich istotnego, historycznego źródła, miały być zrealizowane siłą fatalistyczną, wyrokiem dziejów, podyktowanym przez ustalone prawa przyrodnicze. Klęska Napoleona była przecież tylko triumfem jednego, bardziej skrajnego absolutyzmu nad drugim, zwycięstwem przemocy nad przemocą i nie mogła uchodzić za element twórczy przy kształtowaniu oblicza nowej epoki, której znamię było obalenie feudalnych stosunków i przewodnictwo klasy mieszczańskiej. Wcześniejczy rozwój postępowej gospodarki na Zachodzie wywołał tam właśnie dojrzewanie antagonizmów społecznych między feudalną arystokracją i wzbo-

*) por. „Myśl o równowadze politycznej Europy” — St. Staszic — 1816 r.

**) Na zasadzie dialektyki Hegla budował później swój słowiański mesjanizm Trentowski, por. Chowanna, wyd. II, 1846 r.

gaconym mieszczaństwem. Zachód stał się też terenem zasadniczych przeobrażeń społecznych i kontynuatorem hegemonii cywilizacyjnej... Nic więc dziwnego, że formuły dialektyki Hegla nie pozwalały na dokonanie syntezy epok na korzyść Słowiańszczyzny, jakiej wspaniałomyślnie i nieświadomie dokonywało obok Staszica cały szereg polskich słowianofilów, snując z sugestii i przywidzeń mesjanistyczny mit. Propagowany bowiem pochopnie przez romantyzm kryzys zachodniej kultury był jedynie swoistym wyrazem negacji rzeczywistości, kapryśnym dąsem „niegrzecznych“ feudałów, niezadowolonych z nowego układu sił klasowych i karmiących się nadal ochłapami zamierającej koncepcji życia.

W świetle dzisiejszej rzeczywistości te kręte i nieuzasadnione posunięcia tradycy-

nego słowianofilstwa zatracają swą irracjonalną linię rozwoju, wkraczają w łożysko wyżłobione ostrym dłutem historii i urastają do rozmiarów problemu nowej cywilizacji. Poza mrzonką i mesjanizmem stanęły dziś nie sugestie historii, ale mocna i twarda wymowa historycznych faktów...

Podczas gdy na zachodzie Europy w ramach wielkiej zachodniej cywilizacji, przesiąkniętej nawskroś idealizmem, następował rozkład mieszczańskiej etyki i moralności jako rezultat wybujałego prawa własności, pozbawionego więzów zdyscyplinowanej gospodarki, we wschodniej Europie na gruncie niespożytej i żywiołowej energii młodych w obliczu historii szczepów słowiańskich dojrzewiała synteza nowej epoki. Zbudowana na krzepkich podstawach dziejowego materializmu staje się sygnałem załama-

Alicja Iwańska

WISŁA

Kiedyś, gdy w niedosyć
i pustce zawisłam
szarą smugą przeze mnie
przepłynęła Wisła...

Delty się niedostępnej
nie mogąc doczekać
myślałam: jakże smutna
ojczyzna jest rzeka.

Jak trudno wierzyć źródłom
i delcie dalekiej,
Gdy nie ma nic prócz ziemi
nad brzegami rzeki...

Teraz wiem: ziemia znikła,
ziemię proch przyprószył
i tylko Wisła płynie
silniejsza od duszy
przez gruzy, przemiłczenia,
zwałiska, mielizny
i jest Wisłą i duszą
i nurtem ojczyzny...

I wiem jeszcze: gdy dalsze
przewrócą się karty
gdy kule mnie przyciągną,
lub lśniący Atlantyck,
gdy jak ziemię mnie spala,
oddalą, uśmiercą...
...zostanę z jedną Wisłą
w obolałym mózgu
z jedną, jedyną Wisłą
w zaciśniętym sercu...



ST. BRZĘCZKOWSKI

UJŚCIE WISŁY — DRZEWORYT

nia się idealistycznego systemu, myślenia w różnorodnych jego przejawach, skompromitowanych na długiej przestrzeni wieków chroniczną anemią czynu. Szumnie brzmiały ideały, hasła i programy kłóciły się od dawna z założeniami ekonomicznej struktury, wobec której wyarty w obiegu postulat miłości bliźniego miał wartość błyskotliwego frazesu, uwodzącego umysły naiwnych entuzjastów, lub też usypiającego świadomość klasową uciskanych mas. Wypaczenie nadbudowy psychicznej, towarzyszące szczególnie szybkiemu na zachodzie rozwojowi egoistycznej gospodarki spowodowało w swoim czasie paradoksalną sytuację w stosunkach cywilizacyjnych, w których wschodni niż okazał się pozytywną wartością zdolną do szerokiej akcji. Skoro ostatni z powołanych dotychczas historycznych żywiołów, szczep germański, rozwinięty do maximum zdobycze cywilizacji dla zbrodniczych celów, runął w otchłań upadku, grzebiąc pod sobą zwyrodniałą myśl filozofii Nietschego — myślę, że z pewnością nie zabraknie dziś realnych podstaw, na których można wznosić trwałe gmachy przyszłości słowiańskiej. W chwili, gdy wysokie poszanowanie godności i praw każdego człowieka stało się wyraźnym wskaźnikiem postępu, u wrót przeszłości, pielęgnującej chciwie w swym łonie zgrzybiałego upiora polityki kolonialnej i klasowego egoizmu stanęło niechybne widmo ideowego bankructwa i śmierci. W szybkim biegu historycznych zdarzeń słychnąć wyraźnie astmatyczny ich oddech i stłumiony odgłos zbliżających się kroków...

Aleksander Dziemiński

SPOTKANIE W PILE

Było to drugiego dnia po moim przyjeździe do Piły, kiedy już w grubszych zarysach zwiędziało miasto i zacząłem się rozeznawać w jego dzielnicach. Zmierzył zapadał, gdy przeszedł rzeczkę Kuddow — jakże na Boga zwie się ona po polsku?! — i skierowałem się na ulicę Słodowców — tak chyba przetłumaczyć należy narzuconą jej, wtórna nazwę „Brauerstrasse“. Tu była prastara wieś, zamieszkiwana przez polskich rybaków. Tu pewnie nad brzegami wody stał tartak, od którego poszła nazwa miasta, bo do dzisiejszego dnia nazywają wieśniacy wielkopolscy tartak „piłą“. Tu też kędyś stać musiał dom starosty grodowego, od czasu kiedy osada przeszła z rąk Opalińskich, Bnińskich i Górków na własność króla Zygmunta III Wazy. Ojciec Stanisława Staszica, jako burmistrz Piły, w domu tym właśnie mieszkał.

Oglądam kolejno budynki. Nowoczesne, dwa — i jednopiętrowe, pociągnięte żółtą lub zieloną farbą, nie noszą nawet cienia staroświeckości. Wojna wycisnęła na nich swoje niszczące piętno. Wiele spośród domów postradało dach i zostało wypalonych. Stoją puste, zionące oczodolami obojętnych okien. Wokół ani żywego ducha. Pustka. Straszliwa cisza. Smutek szarpiący wnętrznościami serca. Okrzyknął przykry nowoczesny kościół luterski, zajrzałem do głuchej plebanii, zamierzając wrócić do ustaliwszy miejsca urodzenia znakomitego pisarza, kiedy nagle wzrok mój spoczął na ścianach i pochyłym dachu domu, należącego bezsprzecznie do autentycznych, wyraźnych resztek starej polskiej XVIII-wiecznej przeszłości z okresu przed rozbiorem. Tak, tutaj musiał urodzić się nasz myśliciel reformator społeczny, pisarz-historiozof i ojciec demokracji polskiej!

Po tej kamiennej przybudówce, w formie tarasu wystającego na ulicę, biegła mały Staś na niskie pietro, gdzie bieleją skromne czysto malowane ściany. — Bomba uszkodziła prawą stronę domu. Na ścianach od lewej strony podpadał tynk, z poza którego widać drewniane belki, których kratowanie wypełnione jest glinianą pacyną. Czyjeś nieświadome świętości ręce zabrały sprzęt i meble. Resztki mienia poprzednich mieszkańców walają się po ziemi.

Ze ściśniętym sercem po gruzach na palcach obszedłem wkoło smutne pustkowi izb. Tak, tutaj nasz pisarz powtarzał za matką polski pacierz, tutaj wsłuchiwał się w jej opowieści religijne, które poprowadziły go miały do seminarium duchownego i do stopnia ołtarza. Jakże głęboko musiał przeżywać później młodzienciek przełom wewnętrzny, kiedy wpływy racjonalizmu wiejące z Francji, zinroziły jego wiarę i skłoniły go do porzucenia obowiązków kapłańskich.

Osiemnasty wiek, lata 1755—1826, oświecenie, humanitaryzm — ta mała miejscina, ten domek opuszczony, napół rozbity, noc zapadająca w krag, Pomorze wracające do Polski, wróg, który w epoce Staszica wkroczył z wojskami Fryderyka II do Polski, dzisiaj jest wyrzucany za Odrę: ile wzruszeń, ile podnieć, ile myśli!

Zatrzymałem się w zadumie przed domostwem. Szum rzeki szepcecej w mroku o wiecznej zmienności rzeczy, pogwizd wiatru w badyłach trzciny i niewyraźnych gałązkach drzew zadumanych w ogrodzie.

Nagle — nie wiem czy mi się zdało, czy tak było w istocie — ktoś trącił mnie bezszelestnie dłonią. Nie widziałem dokładnie twarzy. Podniesiony do góry kołnierz płaszcz, zarzuconego na plecy, pochylenie ramion zakrywało lica.

Obywatel od Mazowsza strony? — Z Warszawy. — Dokąd kieruje kroki swoje? — Idę na Stary Rynek.

— Zali pozwoliłś dotrzymać towarzysztwa sobie — Wdzieczny będę — Wróciłem z dawnych niebytności, słysząc zadośćczyniacą sercu memu wieść o dziejach obywateli, że przez was dokonywane są zmiany w losach braci mojej.

Stary Putrament czy co? Duch wracający z minionego stulecia? Zabiło mi żywiej serce. Mrok panujący dokoła okrywał tajemniczą postać, nadając jej zmienne kontury: Odgłosy butów budziły na pustej ulicy niesamowite echa.

— Zajmują Cię, ojcze, losy braci wieśniaczej? szepnąłem półprzytomny. — Całe swoje życie im poświęciłem. Wzrosłem wśród rzeszy zabiednionych nieoświeconych rodaków na tym krańcu Rzeczypospolitej. Próbowałem odwrócić koło zębate, miażdżące poddanych, jęczących w kierunku pańszczyzn. Przemierzyłem wszędy i wzdłuż krainę polską. Poznawałem zło bogactw w jej łonie. Siegałem do kopalń, liczyłem wagę srebra, ołowia, węgla, granitu. Wskazywałem w pismach drogę do pomnożenia dóbr klasy władającej, pragnąłem bowiem dać panom tej ziemi możliwość ciągnięcia zysków z innych źródeł aniżeli z potu, z łez i krwi chłopów.

— Nie udało się, Głos mój był głosem wołającym na puszczy. Próby uwłaszczenia wieśniaków, fermy hrubieszowskie, były kroplą w morzu nieprawości, zabijającej, ścierającej w proch miążgę narodu. Pięć — sześć milionów źle odżywianych, nieubranych, kołtuniastych istot, mało podobnych do człowieka, gnieźdzących się w leniankach i kurnych chatkach razem z drobiem i bydłem, gniotło mi serce utrapieniem nie do przecierpienia.

— Smutek bije z słów twych, starcze.

— Smutkiem, zgrzyzotą, szarpaniem się było moje życie. Ja mieszkaniec tego mia-

sta, syn burmistrza, ubożuchnej osady, narażonej na krzywdy Prusaków, rozkradających ziemie nad Notecią, wskutek nierządu, spowodowanego nędzą chłopów i okrucieństwem stanu szlacheckiego, widziałem jasno położenie nieszczęśliwej Ojczyzny mojej. Wiedziałem, że nie ma dla niej ratunku, jeśli nie zostanie ukrócona samowola panów, a poprawiona dola stanu wieśniaczego. Sprawiedliwości społecznej nie stało się zadość. Ojczyzna upadła. Ludziłem się Połańcem. Ludziłem się Naczelnikiem, Raclawicami — wszystkim na próżno — na próżno.

— Marzenia twoje, ojcze, dziś się wypełniają.

— Uczułem to w zwalonych kościach moich. Powiedział mi o tym szum nad Wisłą. Nadleciał wiatr od Chełma, Hrubieszowa i Zamościa. Zbudziłem się, o synu; wstały we mnie ożywcze, nowe moce. Wybrałem się w dalszą drogę, w pielgrzymkę po osadach kraju mego. Zali to co było treścią żywota mego, spełni się naprawdę? Wzdłuż rzek i szlaków dróg wiodła mnie stopy stare. — Jestem wszędzie — duch mój zakwita tysiącami latorośli — rozrasta się zielenią runi — chwila osobiwa — chwila niebywała. Zawczoraj wstrząsnął mną trząsk walących się ścian, kiedy los mnie przywiódł Polsce.

— Usłyszałem jęk walącej się polepy — Usłyszałem krzyk wylekłej matki — pochwyciłem ją w ramiona, zapewniając ją, że oto jestem przy niej, że spełniają się sny moje, że stan wieśniaczy, ukochany skrzywdzony brat mój doznaje poprawy losu swego — spocząć mogę u jej stóp na cmentarzu tym przy kościele.

Była późna, nieprzenikniona noc. Sylwetka towarzysza majaczyła niewyraźnie na tle zrujnowanych wież świątyni katolickiej przy Kirchenstrasse.

— Wypełniajcie wiernie mój testament — słyszałem z dala widmo — nie ustępujcie przed żadną siłą, gdy o ziemie los się waży, jestem z tobą — jestem z wami, z wami — powiedz braci. Nie usłyszałem reszty słów — porywisty wiatr wstrząsnął drzewami, kościołem, ulicą.

— Próżno rozglądałem się dokoła, próżno zawróciłem nad rzekę — próżno wróciłem pod sam dom na Brauerstr. 16; nie spotkałem już tej nocy Stanisława Staszica, bo on to był bez wątpienia albo jego duch radośnie opuszczający mogiłę na Bielanych w ten dzień nowy, gdy się dokonuje Wyzwolenie, Wyzwolenie Ludu.

Rzeczpospolita ozdobi — proponuję — dom, w którym ujrzał światło dzienne ojciec wyzwolonych Chłopów Polskich, tablicą ze spisu i nazwiskiem ze złota.

Dlatego jest to punkt najświętszy w tej miejscinie.

Mieczysław Żydler

ZA WINY SYNA (Opowiadanie)

Jan Kąkol nie jest już rybakiem. Dawniej wypływał na morze razem z innymi, ale było to jeszcze wtedy, kiedy wieś i całe kaszubskie pobrzeże żyły w wielkim niedostatku, graniczącym z nędzą, kiedy o letnikach i zysku z tego źródła płynącym nikt tu nie słyszał, kiedy w całej wsi nie było większych łodzi nad czterometrowe łupinki

i rybacy okupywali połowy własnym życiem. Kiedy się wreszcie ożenił, w białej chacie, pruskim murem stawianej, zjawił się gość, głośno i uparcie krzyżący, żeby dać mu jeść — syn, dziecko jedyne, bo więcej nie dał im już Bóg.

Stary Kąkol i jego sędziwa żona, trzesała głową, jakby dziwiła się czemuś usta-

wicznie, smutną mają starość. Pusto jest koło ich obęścia, nie słycać młodego, pewnego siebie głosu, ani dziecińczych wesółych okrzyków... Pusto jest i cicho... Jedynym żywym głosem jest niecierpliwie a donośnie muczenie dwu krów, kiedy je stary z obory na pastwisko wypędza albo do woza zaprzęga, wierny dawnemu zwy-

czajowi, zrodzonemu zresztą nie z czego innego, jeno z matki-biedy i ojca-niedostatku. Od czasu do czasu pies także zaszczeka, od kilkudziesięciu lat noszący jedno i to samo imię: „Dino”, bo kiedy jeden ze starości zdechnie, to jego następcą wraz z budą również i imię dziedziczy.

Jan Kąkol na morze już nie wypływa. Wiadomo, ciężki to trud, już nie na jego zmurszałe kości. Zresztą dla nich obojga starczy chleba z tego małego kawałka lichej roli, który mają w odległości paru kilometrów od wsi. Od czasu zaś, jak wybrzeże zaczęły odwiedzać liczne rzesze letników, po piaszczystym strądzie goło chodzących, wstydu w piersi nie mających, to i gotowizny coś niecoś można było odłożyć do pięknie malowanej skrzyni... Z odnawiania niskich, ale schludnych i z pewnym smakiem umebrowanych izb. ze sprzedaży mleka, masła i jaj... Starzy pieniędzy na własne potrzeby nie wydają zupełnie, jeden przyodziewek wystarcza im na lat kilkanaście a syn... syn od dawna już nie ich nie kosztuje.

Z tym synem to było tak: W październiku 1914 roku miała mu się skończyć służba w infanterii pruskiej, kiedy na dwa miesiące przed tym terminem gruchnęły w Sakajewie owe tragiczne wystrzały, które pozabawić miały cichą wioskę kaszubska połowy ludności męskiej. Car rosyjski ujął się za narodem serbskim. Za Austria opowiedział się niemiecki kajzer, a za Rosją — Francuzi. Jak wiadomo wynika z tego wielka wojna i młody Franek, zamiast do domu, poszedł do okopów we Flandrii. Cztery lata zdrowej głowy nadstawił nie lepiej, ale i nie gorzej od innych, aż mu ją wreszcie w 1918 roku odłam angielskiego granatu wyszczerbił.

Kiedy wrócił ze szpitala do domu, był już zupełnie inny, wszelki odmienniony... Zrobił się porywczy i skłonny do bijatyki o hyle co. Do pracy się lenił i tylko siedziałby całymi dniami w kramie u Grubego Stephana i z innymi rebokami, co także z wojny powrócili, w karty w „skata” łupił i pieniądze przepijał.

Może to sprawiły lata na wojnie spędzone, a może ta rana w głowie, kto to wie?... Dość, że kiedy do wsi przyszedł nakaz, aby wszyscy mężczyźni w wieku od lat 19 do 28 do wojska szli — tym razem było to już wojsko polskie — Franek zbladł, jakby go krew uszła, żeby zacisnął i zimno zapowie-

dział, że ani mu to w głowie. Próżno go ojciec i matka, przeciwko własnemu sercu, upominali, że przecież iść musi, że trzeba... Miał tylko jedną odpowiedź, że dosyć już się nawojował, a teraz niech idą inni, którzy przez siedem lat karabinu nie nosili i przez cztery lata w błocie pod „trommel-feuerem” nie leżeli.

— Ady opamiętaj się, knöpie! — lamentowali starzy. — Żandarmi...

Jednak na żandarmów Franek sposób znalazł. Robiono właśnie spisy tych, którzy chcą optować za Rzeszę. Ku grozie i trwożnym przeczuciom starych Kąkolów ich syn opowiedział się za Niemcami.

Jakoż do wojska go nie wzięto. Francisek już puszył się, jak to on łebsko potrafił poradzić sobie z polskimi władzami, kiedy nagle przyszło pismo z urzędu, nakazujące mu, jako obywatelowi niemieckiemu, opuszczenie wsi i granic Rzeczypospolitej.

Spóźniony żal na nic mu już przydać się nie mógł. Chłop spakował manatki i wyjechał... Dlatego to starzy Kąkolowie smutni chodzą i skłopotani, całymi dniami i bezsennymi nocami myśląc, jak znaleźć sposób, aby jedynego syna pod dach sprowadzić, usłyszeć jego silny, męski głos, ożenić go i doczekać się płowolnych i niebieskokoch, jak wszyscy Kąkole, swawolących po obojętciu wnucząt.

Myśleli, martwili się, biadolili, aż ktoś z letników, widząc ich udrękę, napisał im prośbę do Województwa, aby na powrót i pckutę syna zezwoliło. Nadzieja wstąpiła w stare, wyziębłe od samotności serca. Ale odpowiedź przyszła — odmowna... Tak jest, syn starych Kąkolów postąpił źle i musiał ponieść karę.

Minęło lat kilka... Dla jednych w radości, dla innych w strapieniu i smutku. Wreszcie starzy zwrócili się z prośbą do kancelarii cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej o łaskę dla zbłąkanego grzesznika.

Długo mozolili się, kiedy dostali ten papier do podpisania. Ręka starego Jana, przyzwyczajona do obcowania z przedmiotami ciężkimi, ani rusz nie mogła poradzić sobie z podstępnie lekkim piórem. Spod dłoni zaś matki, wstrząśniętej powagą chwili, wyszedł rodzaj ząbkowanego hieroglifu, wrzuszającego swoją wymową.

Ale trud starszoków nie poszedł na marne. Prośba ich dotarła do miejsca przeznaczenia, już wkrótce bowiem otrzymali pismo z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych,

powiadaniające adresatów, że podanie ich zostało skierowane do Województwa i zdające uszczerbienia odpowiedniej opłaty stemplowej.

Wreszcie doczekali się odpowiedzi. I oto poszedłem dziś do Kąkolów, aby wytłumaczyć im treść urzędowego pisma, które wręczył im za pokwitowaniem listonosz.

— My was przepraszamy, panie — usprawiedliwia się stary, od wielkiego niepokoju przeciągając słowa więcej niż kiedykolwiek — ale my nie rozumiemy, co tu napisano.

Jego białka, również więcej niż kiedykolwiek roztrzęsiona, wyciera fartuchem krzesło i prosi mnie siadać. Rozglądam się po izbie, zastawionej sprzętami typowymi dla kaszubskiego gospodarstwa. Spod okapu kuchennego czerwony blask ognia rzuca na ściany nasze wyolbrzymione cienie. Stary Jan o obliczu pomarszczonym jak zwiedle jabłko, w nasuniętym na czoło sztywnym kaszkiecie rybackim, którego zgodnie z miejscowymi zwyczajami w mieszkaniu nie zdejmuję, nachyla się nad ogniem, aby wziąć węgielek do fajki. W tym nastrojowym oświetleniu wygląda jak czarownik z bajki, warzący tajemniczy eliksir. Jego żona, której ptasi profil ginie w cieniu chusty, nisko na czole zawiązanej, przypomina do złudzenia babę-Jagę, taką jak ja sobie wyobrażałem w dzieciństwie, niedawno, lat temu ze... trzydzieści.

Otrząsnąwszy się z tego wrażenia zbliżam się do ognia, aby odczytać ów oficjalny papier, który ma rozstrzygnąć, czy ostatnie lata życia przyniosą tym dwojgu radość, czy dalsze osamotnienie, spędzane w tęsknocie i nawet bez nadziei tej pociechy, jaka w chwili przedśmiertnej agonii znajduje starzec w spojrzeniu własnego dziecka.

Pismo jest odmowne. Z jego zawile zredagowanej treści wynika, że prośba Kąkolów została już raz przecież odrzucona, wobec czego wszelkie dalsze podania pozostaną bez odpowiedzi.

W izbie panuje wyczekujące milczenie. Ogień trzaska obojętnie na kominie, spoza okna dobiega cichy pomruk morza, mnie zaś nie pilno podnieść wzrok znad papieru oświetlonego czerwonym żarem na twarze gospodarzy.

Wiadomo, Franek Kąkol zawinił, wypierając się swojego narodu, ale przecież ciężko jest patrzeć na ludzką rozpacz...

Konrad Górski

ŚLADEM CIERPIEŃ LUDZKOŚCI

W odczycie pt. „Literatura a życie polskie”, wygłoszonym w Zakopanem w 1915 roku, Stefan Żeromski wyraził się w następujący sposób o charakterze literatury polskiej:

„Nie przynosimy światu wiadomości artystycznej o zawilosciach duszy człowieka. Mówimy wciąż o zawilosciach duszy Polaka. Tak być musiało, gdyż inaczej być nie mogło”.

Spostrzeżenie to, naogół słuszne, nie odnosi się jednak do wspaniałej i wielkiej karty w naszej twórczości literackiej, jaką jest dorobek poetycki Jana Kasprowicza. W dziełach tego poety uderza właśnie ogólnoludzka perspektywa, wyrażająca się w przewadze zagadnień metafizycznych i moralnych ponad wszelkimi innymi. Wprawdzie sam Kasprowicz podkreślał, że w jego pieśni „bogatej czy biednej, przynajmniej ktoś lub nie przynajmniej, — żyje tak rzadka na wargach jego najdroższa ojczyzna”, — ale słuszność tego powiedzenia ogranicza

się do ogólnego tła jego twórczości, do krajobrazu i szkicowego nakreślenia pewnych stosunków życiowych, lecz nie do istotnych problemów, około których krąży myśl poety. Natomiast echa problemów polityczno-narodowych są nader rzadkie i nie stanowią ideowego podłoża jego poezji.

Kasprowicz jest poetą trudnym. Nie jest to następstwem wyłączenia owej problematyki filozoficzno-moralnej, którą przesycone są jego poezje, lecz w wyższym stopniu wynikiem żywiołowej uczuciowości i bogatej wyobraźni. Te właściwości sprawiają, że wymienione problemy nie są podane w formie abstrakcyjnej (jak np. u Asnyka), lecz w obrazie wewnętrznych walk i szatań, które uwidoczniają nam istnienie i doniosłość moralnych i filozoficznych zagadnień. Jest to więc poezja filozoficzna, ale nie refleksyjna, zbyt bezpośrednia, żeby mogła być dydaktyczna.

Cała twórczość Kasprowicza jest tak organicznie związana wewnętrznym pokre-

wieństwem tematów i motywów, że pełne zrozumienie poszczególnych dzieł staje się możliwe tylko w świetle całokształtu ewolucji duchowej, odwierciodłonej w dorobku pisarskim naszego poety. W paru słowach musimy więc nakreślić tę ewolucję.

Kasprowicz był synem wielkopolskiego chłopca i wzrastał od dzieciństwa w trudnych warunkach życia codziennego. Mimo wyniesionej z domu rodzinnego tradycji religijnej i wrodzonych skłonności do mistycyzmu, utracił wiarę w okresie studiów uniwersyteckich i wyrobił sobie wówczas pogląd na świat oparty na przesłankach materializmu filozoficznego i historycznego. Stał się wojującym socjalistą, zwalczał religię i Kościół, głosił wiarę w człowieka i możliwość wydobycia z duszy ludzkiej pierwiastków boskości, gdy ludzkość odrodzi się duchowo dzięki nowemu ustrojowi społeczno-politycznemu. W duchu tej wiary poeta kreśli szereg wierszy programowych, przesyconych ideologią rewolucyjną.

domagających się przekształcenia świata i człowieka. Ale niezwykle ciężkie przeżycia osobiste, które sążone było przejść młodzieńczemu poecie, — półroczne więzienie pruskie, dramatyczny przebieg jego pierwszego małżeństwa, zakończzonego samobójstwem żony, naoczne przekonanie się o przepastnych głębiach zła, tkwiącego w ludzkiej duszy — powodują załamanie się owej wiary w człowieka, na której młody Kasprowicz zbudował swój rewolucyjny program. Od tej chwili aż do epoki napisania „Hymnów“ widzimy w jego poezji nieustanne pogłębianie się pesymizmu i bolesnych nastrojów.

...Albo człowieka żaden Bóg nie stworzył,
Lub z powszechnego prawa tak wydrożył,
Tak się wypalił duch mój do ostatka,
Że dlań już ognia żadnego nie stanie...
Zagaśnij słońce! Pocóż rozwiązanie!...

A w innym wierszu tej samej epoki mówi poeta: „W ciemności schodzi moja dusza, w ciemności toń bezdenna...“ i te słowa mogą uchodzić za naczelną temat i najbardziej znamienity wyraz przeżywających w jego ówczesnej poezji nastrojów.

Cała twórczość Kasprowicza w przeciągu 12 lat od załamania się młodzieńczej wiary w człowieka aż do epoki napisania pierwszych „Hymnów“ osnuta jest skutkiem tego na kilku szczegółowych tematach, których można by wymienić pięć. Pierwszym jest stwierdzenie moralnego upadku człowieka. Drugim — zupełnie odmiennie w stosunku do okresu młodzieńczej poezji ujęcie miłości. Dla Kasprowicza — rewolucjonisty miłość sprowadzała się do symbolu greckiej Venus Anadiomene, wylaniającej się z fal morskich nagiej bogini miłości. Poeta uwielbiał piękno i swobodę miłości cielesnej, traktując ideę średniowiecznego ascetyzmu jako objaw kuglarstwa czy obłędu. Obecnie zjawisko miłości ukazuje się jego oczom w innym świetle, a symbolicznym wyrazem zmienionego stosunku poety jest tytuł jednego z jego ówczesnych utworów: „Miłość-grzech“. Poeta dostrzega istnienie jakiegoś rozdźwięku między ciałem i duszą, powodującego, że nasycenie pożądań cielesnych budzi tym większą tęsknotę metafizyczną. Następstwem tej zmiany pojęć jest trzeci główny temat ówczesnej twórczości Kasprowicza — nawrót do biblijnego mitu o wygnaniu duszy ludzkiej z raju. Mit ten staje się dla poety jakby symbolicznym obrazem pewnej psychologicznej prawdy, obrazem dwoistości ludzkiej duszy, jej zaświatowych tęsknot i jednocześnie jej moralnego upadku. Nieustanne krążenie dookoła problemu moralnej degeneracji człowieka prowadzi poetę do czwartego tematu, a mianowicie do niepokojącej zagadki psychologicznej, jaką przedstawia historyczna postać Chrystusa. Postać ta wylamuje się z wszelkich syntez czy szablonów, jakie na temat możliwości ludzkiej natury może sobie tworzyć niedawny materialista, i narzuca się wyobraźni jako zjawisko niewytłumaczalne i niepokojące. Ale o ile Chrystus, jako postać historyczna, jako rzeczywisty człowiek, budzi uwielbienie i zarazem niepokój poety, o tyle chrześcijaństwo, jako doktryna religijna, wywołuje stanowczy jego sprzeciw. Związane z tym myśli i refleksje stanowią piąty główny temat poezji Kasprowicza przed napisaniem „Hymnów“.

Najwyższe nasilenie poetyckiego wyrazu dla wszystkich wymienionych pięciu tematów przynoszą właśnie „Hymny“. Tym wspólnym tytułem, dodanym wiele lat później, objął Kasprowicz dwa cykle poematów, które ukazały się w latach: 1898—1901. Pierwotne tytuły obu cyklów brzmia-

ły: pierwszego — „Ginącemu światu“, drugiego — „Salve Regina“. Sens tytułu ostatecznego wynikał z faktu, że poszczególne poematy obu cyklów operowały motywami autentycznych hymnów kościelnych i posiadały charakter monologów religijnych, zbliżonych chwilami do religijnego hymnu. Ale wzięty z autentycznych hymnów kościelnych są u Kasprowicza tylko punktem wyjścia do rozwinięcia obrazów i myśli najzupełniej odbiegających od ducha i charakteru rzeczywistych hymnów religijnych. Motywy hymnów kościelnych pełnią u Kasprowicza rolę podobną, jak u niektórych kompozytorów, co biera jakiś cudzy temat i rozwijają z niego oryginalne wariacje. Porównanie to narzuca się z tym większą siłą, że kompozycja „Hymnów“ Kasprowicza oparta jest najzupełniej na muzycznych wzorach tematu z wariacjami. Poeta operuje pewnymi powtarzającymi się wciąż zdaniem na podobieństwo fraz muzycznych; ich nawroty mają swe uzasadnienie logiczne, wynikające z rozwoju myśli, ale są także następstwem operowania zdaniami jako harmonicznymi zespołami pewnych dźwięków.

Oba wymienione cykle mają jednak charakter zupełnie odmienny co do ducha. Pierwszy: „Ginącemu światu“ jest najzupełniej bogoburczy; ginącemu światem ma być właśnie chrześcijaństwo. Cykl drugi natomiast: „Salve Regina“ można by uważać za coś w rodzaju pierwszego kroku w kierunku religijnego nawrócenia. Cykl pierwszy jest wyrazem protestu przeciw podstawowym pojęciom chrześcijaństwa, jako doktryny moralnej i religijnej; cykl drugi wyrazem uwielbienia dla tych pojęć i przeżyć chrześcijańskich, które poetę pociągają i przykuwają do siebie.

Na czele cyklu pierwszego mamy hymn „Dies irae“, namiętny protest poetycki przeciw idei sądu ostatecznego nad człowiekiem. Człowiek jest istotą grzeszną, bo podlega prawom natury stworzonej przez Boga, odpowiedzialność więc za grzech spada na Stwórcę, nie na stworzenie. Straszliwa wizja sądu ostatecznego staje się u Kasprowicza apoteozą grzechu, tryumfem zła, które stworzył Bóg. Stąd jedyny absolut to ból, jedyne wyzwolenie to śmierć.

Drugi hymn jest miłosnym monologiem biblijnej Salome, której postać stała się niezwykle modną w sztuce i literaturze doby symbolizmu. W interpretacji Kasprowicza Salome kochała świętego Jana; jej monolog to swego rodzaju nowa „Pieśń nad pieśniami“, hymn miłości, który śpiewa Salome do leżącej na misie świętej głowy proroka. Zakończenie utworu jest wyrazem rozpacz i buntu przeciw Bogu, dla którego zabity prorok wzgardził za życia najprzedniejszą z cór ziemi. Hymn „Salome“ to coś więcej, niż walka z pojęciami, które są nie do przyjęcia dla intelektu człowieka; to bunt przeciw strukturze ludzkiej duszy — wygnanki z raju, której tęsknoty zaświatowe do owych pojęć prowadzą.

Trzeci hymn: „Święty Boże, Święty Mocny“ stawia nas wobec zasadniczego pytania, kim jest naprawdę Stwórca świata: Bogiem czy szatanem. Bo jeśli jest Bogiem, to musiałby współczuć z niedolą człowieka i śpieszyć mu z pomocą, a jeśli zamiast tego upaja się własną mocą, a ziemię oddaje na pastwę wrogim dla człowieka potęgom: szatanowi i śmierci, to człowiek winien by swą modlitwą o pomoc kierować do szatana, nie zaś do Boga. Ten poemat Kasprowicza da się porównać z Mickiewiczowską Improwizacją Konrada, jeśli chodzi o wyraz gwałtownego nasilenia bliźnierzkiej intencji, ale ustępuje znacznie lu-

rowizacji pod względem artystycznej zwartości i siły.

Ostatnim utworem z cyklu „Ginącemu światu“ jest „Moja pieśń wieczorna“, poemat liryczny, będący jednym z najwyższych szczytów poezji polskiej. Jeszcze raz wraca poeta do ujęcia duszy jako wygnanki z raju, tęskniącej do dawno minionego czasu, gdy „On był i myśmy byli przed początkiem“. Zerwaną pierwotną jedność z Bogiem dusza ludzka chce odzyskać w okresie wieczoru, gdy się kończy dzień — okres moralnego upadku i grzechu człowieka. Ale nadaremne jej wysiłki, aby dokonać mistycznego wstępu i przez hymn uwielbienia zjednoczyć się z Bóstwem. Na niebie wciąż płonie zorza, wspomnienie minionego dnia, symbol pamięci o upodleniu człowieka w jego dziennych postępkach, ta zorza przeradza się wreszcie w pożar świata i wizję straszliwego sądu ostatecznego nad człowiekiem i oto dusza ludzka w poczuciu swej odpowiedzialności za popełnione zło dokonywa przerażającej spowiedzi wszystkich najokropniejszych grzechów człowieczeństwa. Spowiedź tę przerywają wprowdźcie bliźnierzce akcenty przeciw Stwórcy, który człowieka stworzył grzesznym, ale nad nim dominuje inne przełomowe wyznanie, że nieprawość człowieka przeszła granice Boskich zamierów.

Hymny cyklu drugiego powstały w półtora roku po cyklu pierwszym. Są one wyrazem stosunku poety do tych stron chrześcijaństwa, które go pociągają i wzruszają jako objawy najpiękniejszych możliwości ludzkiego ducha. I tak hymn „Salve Regina“ to wyraz miłości przebaczącej i oczyszczającej, miłości tak wielkiej, że w jej promieniach zatracą się różnica między dobrym i złym. „Hymn świętego Franciszka“ głosi zbawienie przez miłość, jest ujęciem chrześcijaństwa jako wyrazu miłości do wszelkich przejawów życia. Hymn „Judasza“, mimo akcentów dawnego szerniania przeciw Stwórcy za stworzenie człowieka grzesznym, odświeża możliwość odkupienia przez cierpienie. Wreszcie hymn „Maria Egipcjanka“ ukazuje nam jakby nową wizję duszy wygnanej z raju, ale dążącej nawet mimo chwilowych upadków i załamań do swego Zbawcy — Chrystusa!

Jest rzeczą znamienną, że po napisaniu hymnów drugiego cyklu dawne tematy, osiągające coraz większe nasilenie w okresie pesymizmu poety, już więcej nie wracają. Nie ulega wątpliwości, że coś się przełamało w stosunku Kasprowicza do chrześcijaństwa, jak gdyby ktoś po osiągnięciu szczytu jakiejś góry zaczął stopniowo schodzić w dół po przeciwnym zboczku. Długie lata ewolucji wewnętrznej, obfitującej w ciekawe etapy, kończą się wreszcie akordem nawrócenia i pojednania ze Stwórcą w „Księdze ubogich“.

„Hymny“ są utworem znamiennym dla doby t. zw. symbolizmu. Przewaga zagadnień życia wewnętrznego nad problemami zbiorowymi, operowanie wizją i symbolami, upodobanie do muzycznej kompozycji w utworze poetyckim, posługiwanie się wolnym wierszem, doskonale odtwarzającym zmienne napięcie uczucia, — wszystko to są charakterystyczne cechy ówczesnej poezji europejskiej. W literaturze polskiej „Hymny“ stają obok „Trenów“ Kochanowskiego i „Dziadów“ dreźnieńskich. Wszystkie te trzy utwory są wyrazem buntu przeciw Stwórcy na tle ludzkiego cierpienia, oraz późniejszego nawrócenia i pojednania z Bogiem. Wartość tego rodzaju utworów mierzy się doskonałością wyrazu ludzkich przeżyć, w których osobowość człowieka dochodzi do pełnego uświadomienia sobie swej istoty i swoich możliwości.

Konrad Górski

CZEREMCHA

Te wiersze wojenne! Gdy trzeszczy już „Kurier“
Od wojny hałasów od map i od planów
Któż czytać to będzie?... A jednak spróbuję:
Niech raz! Będę czuły jak „Autor nieznaný“.

Loreley moja... czeremcha jej było
Kusiła, wabiła mnie białym warkoczem...
Przygłuchły melodie i kształt przegapiłem,
Gdy nagle — ten zapach! Dokoła otoczył.

Czeremcha! W tym mieście? W ten czas?! Jaką drogą
Przybyłaś śpiewaczko, piastunko, zwodnico?
Uwięzło coś w gardle i spytać nie mogę
Jak tu się przepchałaś wojenną ulicą?!

...Spadała na grządki śnieżysta, a w górze
Pot lał się za kołnierz: — ach, zerwać ostatni
I pień darł kolana i nagle jak burza
Trzask spodni, gałęzi, śmiech braci, krzyk matki.

Ten dramat w powietrzu i wrzask „się nie boję!“
A drzewo szumiło, a serce dzwoniło
I młoty pachnące się niosło w pokoje:
Czeremcha, czeremcha, zapowiedź jaśminu...

Zapowiedź jaśminu, ajeru i lata
I święta, i szczęścia i gruszek na wierzbie —
Na słońcu kruszyła się skóra i kwiaty:
Iść lekcje odrabiać? Ach, gdzieżby tam, gdzieżby!...

Der Trauben Kirschbaum... Też coś! Czeremucha
To ostre tam w szkole, nie tu, pośród krzaków,
Gdzie zapach po deszczu... ach proszę poniuchać:
Upojna symfonia!... Alkohol szczeniaków.

Te dzieci, co w wózkach dziś jadą chodnikiem
O, jeśli tej woni nauczą się węchem,
To niegdyś po latach z hałasem i krzykiem
Przyniosą — niemylnie! — gałązkę czeremchy.

Krystyna-Maria Królikowska

PRZECZUCIE

Przyjdą do drzwi kołatać nocą ciemną, straszną
I kolbami w zawarte hukną okiennice
Aż echo się rozniesie wzdłuż śpiącej ulicy
I obudzone ze snu psy ujadać zaczną.
Zgrzyt klucza i na schodach loskot nóg podkutych...
Szarpnięte drzwi rozerwą się w złowieszczym trzasku...
Zalśnią stalowo lufy w mdytm latarki blasku
I mroczne oczy spojrzą w twarze pełne buty.
A serce skamienieje; nie zadrzą powieki,
Ni błagalnej modlitwy nie wyszepczą wargi.
W oczach lęku nie ujrzą, nie usłyszą skargi...
Przeptyną ponad głową sekundy... i wieki.
A potem wszystko pójdzie koleją utartą:
„Kommen Sie mit!“
z nad karabinów szczekną wrogo słowa
...Zaciąć zęby i pięści i do góry głowa!
Wyjść w ciemność niby w wieczność naoścież otwartą.
Milczące pożeganie... Zbyteczne są słowa.
W mroku rozpacz zostanie — biała, cicha postać.
Z nią serce — niepotrzebne już — może pozostać
Przybite w progu domu jak złota podkowa.

Listopad 1943 r.



B. JAMONTT „PEJZAŻ“
(Z Wystawy Plastyków Toruńskich)

Alfred Kowalkowski

WIERSZ GOTYCKI

Nakrytych powiewnym cieniem — wśród łąk opłotły nas ścieżki
i nagłym wniebowstąpieniem wspinały się aż do oczu.
Zasłoń mi twarz swym beretem, w który wiatr łowisz południa,
jak strumień barw na paletę — i szarę lotnego uśmiechu,
ażebym siebie samego mógł znówu sobie przypomnieć
i u najprostszych dróg brzegu, na progu ciszy kościelnej,
w tej kropki przejrzał się cały — jak w mrokach konfesjonału.

Dnie mijające skazały nas obu na przetaczanie
ładu spod słońce w nocną zamieć. Lecz my nauczymy się wschodów
i nieb pobliza na pamięć. Zanurzymy się w chłodzie ołtarzy
na świętość, na zgon i życie — tu są pożary rzeźwiące.
Myśl rozjaśnijmy we świetle tak silnie, aż krew przystanie
w oczekiwaniu na chwilę, co poza obrotem światów
w gwiazdnym rozpocznie się pyle, aż nagie odsłonią się twarze —
jakby dopiero stworzone, do dziś nieuśpione pięknem.

Już czas uderza we skronie i na wysokość wieczności
wzbija wyrwanych z ciężaru. W niej obmywamy z ciała
ramiona niepomne czaru swej podwójności człowieczej.
I teraz wolny już mogę ścisnąć dzielące nas dale
w dotyk tak czysty jak ogień. A Bóg dojrzewa miłością.

Piętrzy się w nas zmartwychwstanie. Trwamy wieżami kościoła.
Ponad kamienne otchłanie wznosimy się lotem krzyża.
Akanty — modlitw oddechem — z murów się wspięły w kolumnach —
i płomieni nie jest już grzechem — wydarty z serc i marmurów.
Wiatr bije w dzwony i w cegłę, splatając nas jaśniej i ściślej,
jak okrzyk z echem odległym — drgnień nieruchomych gonitwą.
I odrywają się duchy, gotykiem wzwyż wyostrzone,
od stóp glinianych i kruchych — oto nas nie ma na ziemi —
i biała wyżyn melodią obejmujemy się w ciszy.

Nikt pieśni, prócz nas, nie słyszy. Ale świat cały ją podjął.

WIEŚ POMORSKA W CZORAJ, DZIŚ I JUTRO

Wieś pomorska służyła przed wojną do dobrobytu, wysokiego uświadomienia obywatelskiego, dużych zainteresowań kulturalnych i głębokiego umiłowania rodzimego piśmiennictwa.

Mimo, że gleba na Pomorzu nie jest najwyższej wartości, lud nasz — przez należytą jej uprawę i umiejętność wykorzystania poszczególnych jej gatunków — uczynił ją posłuszną sobie rodzicielką darów lata, wypełniającą nadmiarem zbóż i okopowizy gospodarskie stodoły, piwnice i kopce. Zbiory z pól i zyski z przychówku inwentarza pozwalały chłopu żyć z osiągniętych dochodów bardzo dostatnio i utrzymywać zagrody niemal na poziomie zagród rolników szwedzkich.

Nie jest to osobliwością naszej wsi, że zaopatrując się w najnowocześniejsze narzędzia, wnosząc piękne murowane budowle, urządzając miłe, lśniące czystością wnętrza domów mieszkalnych, równocześnie budziła ona szersze zamiłowania kulturalne. Do cennych właściwości duszy polskiej należy zjawisko, że nie zaspakaja ona osiągnięciem dobrobytu wszystkich swoich pragnień. Tęskniąca podświadomie do piękna, szuka ona szlachetnych podniet i głębokich doznań duchowych. Przywiązana fanatycznie do rodzinnej ziemi, lubi dociekać istoty uczuć, którymi płonie. Chwyta też każde słowo, które jej o nich mówi.

Literatura polska — najbardziej chyba narodowa literatura na świecie — urzeka pomorskiego chłopca. Mówi mu ona bowiem o przeszłości narodu, o jego mocowaniu się z losem, o sławnych czynach przodków i poświęceniu dla ojczyzny. Odtwarza postaci ludzkie, żyjące codziennymi troskami, przezwyciężające liczne kłopoty i jakże często toczące walkę z porywami własnej duszy. Dusza ta, szamoce się w więzach rozumu, nie pozwalających jej wyzwoleć. Stroskana, trawiona nieustannymi wątpliwościami, gnana żywiołowymi popędami, błądzi wśród bezmiarów myśli, i na szerokich rozłogach rodzinnych pól szuka świadomości pozwalającej jej zarówno dojrzeć prawdę, jak znaleźć punkt oparcia dla decyzji podyktowanej rozsądkiem, wolą i nakazem serca.

I tu strudzony oracz naszej ziemi doznaje niejako olśnienia. Konstatuje on, że te przestrzenie, po których w poszukiwaniu dróg wyjścia błądzi stroskana myśl człowieka i cierpiące ludzkie serce — to pola rodzimej ziemi.

Stwierdzenie tej prawdy — chociaż by tylko intuicyjnie — wystarcza, by chłop stał się dozgonnym miłośnikiem słowa zwiastującego mu tak głębokie doznania.

Spokojny, refleksyjny umysł chłopca pomorskiego to umiłowanie w sobie zbudził. Zagłębiał się on w książki, czytał pisma i dociekał prawd swoim własnym rozumem. I tą dociekliwością tak się duchowo rozwijał, tak upewnił się w swej pełnej dojrzałości — że wyodrębnił się niemal z ogólnopolskiej chłopskiej rodziny zarówno poziomem zainteresowań, jak poglądem na liczne sprawy publiczne. Wzniósł on przez to cenne przyniooty do naszej zbiorowości. Wniósł solidność do obowiązków, rzetelność do stosunków wzajemnych między ludźmi, upór w dążeniach wpływających z przeświadczenia o słuszności sądu, wreszcie niezłomność w swej postawie do istotnych wartości polskiego życia.

Wszystko to uczyniło chłopca pomorskiego postacią najbardziej reprezentacyjną w zbiorowej masie ludu polskiego.

* * *

Wybuchła druga wojna światowa. Dywizje hitlerowskie załaziły Polskę. Na ziemiach, które Niemcy zrabowali nam ongiś, a które uważali za oderwane od swego terytorium, rozpoczęła się likwidacja polskiego stanu posiadania.

Na wsi zaczęła się ona od najlepiej zagospodarowanych osad, od najzamożniejszych gospodarstw. Chłop — jeśli nie został zamordowany za najbliższym pagórkiem wiejskim — musiał iść z ziemi ojców bądź do obozu, bądź na wygnanie, bądź na parobka do Niemca. Jeśli posiadał schedę uboższą, mógł pozostać na niej wtedy, gdy zgłosił swą uległość wobec własnych katów w postaci „zabiegania“ u nich o prawo należenia do narodu niemieckiego.

Chłop-obywatel, chłop-działacz, chłop-społecznik, albo oddał życie za swe cnoty narodowo-obywatelskie, albo poszedł na turlaczkę do Gubernii Generalnej. Nagromadzone przezeń dobro materialne przeszło drogą grabieży w ręce najeźdźcy. Zdobyte pracą długich lat dobra duchowe zostały wtedy wystawione na najcięższą próbę.

Chłop opuścił zagon ojczysty z tobołkiem w rękę. Rozstał się z wszystkim, co stanowiło treść jego życia. Wegetując przez sześć lat stracił wiele cech osobistych, ale nie zatracił swej odrębności duchowej, swej dumy narodowej, swej postawy do spraw własnych i ogólnych. Przebiegał się przez życie z niesłuchanym wysiłkiem, zaznając niedostatku graniczącego z najsakrajniejszą nędzą; spalał się w tęsknocie za swym własnym zagonem; tonął w środowisku przeważnie obojętnym w stosunku do jego zainteresowań — zachował jednak swą osobowość i wrócił z nią po pogromie Niemiec w swój dom.

Został go w stanie zupełnej dewastacji. W izbie mieszkalnej nie znalazł nic; na podwórzu ocalały najwyższy stary plug, lub broną; w gumnach stały jedynie sieczkarnia lub wialnia; w oborach i stajniach — zachowały się jeno żłoby.

Odnawiając gospodarstwo, trzeba było brać się do pracy sposobem przypominającym trudy przodków, posługujących się w niej prymitywnymi narzędziami. Trzeba było orać, siać, zbierać plony — bez koni, bez zmechanizowanych narzędzi, bez niczyjej pomocy.

Chłop zabrał się do tej pracy ze spokojną rozwagą człowieka, pojmującego skutki kataklizmu dziejowego, który nad ziemiąmi ojczystymi szalał przez całe lata. Dźwigał swoją schedę z dewastacji i zniszczeń w nadziei, że uporem i mozołem doprowadzi ją ponownie do dawnego, kwitnącego stanu.

Wstrząs, jaki nawiedził świat, wyźłobił poważne rysy w chłopskiej psychice. Wnikliwość umysłu ustąpiła w niej świadomości, że nastal czas twardej walki o byt własny i narodu; że nieszcześćcia, które zwały się na kraj, zachwiały podstawami naszego bytu narodowego; że w gwałtownej potrzebie ich wzmacniania, ramię chłopca staje się dziś bodaj jedyną gwarancją wykonania narodowego zadania.

Zapracowany i skłopotany chłop pomorski nie jest dziś w stanie zaspakajać swych zainteresowań ogólnych. Nie może nabywać książek, ani zdobyć się na czytanie — jak przed wojną — paru pism. Z dzienników

wszakże, jakie od czasu do czasu nabywa, ze zgrupowań, w jakich chętnie bierze udział, chłop zorientował się w istocie społeczno-politycznych przemian w kraju i patrzy na nie nie zawsze pod kątem całkowitej akceptacji. Słucha chętnie nasświetlań i podchwytuje z nich niejedno hasło ale ma o sprawach swój własny sąd i z upragnieniem czeka czasów, kiedy podwyższona wydajność gospodarstwa da mu możliwość materialnego okrzepnięcia, zapewnienia swych potrzeb kulturalnych i wszechstronnego zainteresowania się sprawami publicznymi. Świadom jest on swych praw i swego znaczenia w państwie. Chce je wykorzystać we wszystkich dziedzinach życia zbiorowego — swym najczynniejszym w nim udziałem.

* * *

Chłop trzeźwo patrzy na życie. Ciężka praca, jaką wykonuje w okresie całego roku, utrwaliła w nim przekonanie, że wszystko, co nie jest oparte na rzetelnym ludzkim wysiłku, nie może mieć cech stałości. Chłop skłonny jest krytycznie patrzeć na wszelkie życiowe zjawiska o idealistycznym podłożu.

Dwa z nich wszakże wyłączone są w jego umyśle i odczuwaniu z tej reguły: wiara i miłość do ojczyzny.

Pełne kultu przywiązanie do Kościoła katolickiego oparte jest zarówno na potrzebie duszy, jak i na głębokim szacunku dla przeszłości narodu. Chłop widzi z oddali czasu, że wielkie akty historyczne o olbrzymiej dla narodu doniosłości odbywały się zawsze po oddaniu w opiekę Opatrzności jego spraw i losów. Poczynając od bitwy pod Grunwaldem, kiedy rycerstwo przed wyruszeniem w bój odśpiewało na polu chwały „Bogurodzicę“, kończąc na uroczystym „Te Deum“ w stołecznej katedrze św. Jana, rozbrzmiałym wśród najwyższego uniesienia serc, naród polski wszystkie swoje dzieła rozpoczynał i kończył z Bogiem.

Na Pomorzu w ostatnim stuleciu chłop pomorski wraz z całym społeczeństwem toczył nieustępliwą walkę z germanizmem. W walce tej przewodzili mu przeważnie kapłani. Nazwiska ks. Wawrzyniaka i ks. Domańskiego zapisały się w pamięci ludu na zawsze. Chłop widział w tych kapłanach nie tylko prawdziwych rycerzy Chrystusowych, ale niezłomnych Polaków o najczystszych i najpłomienniejszych polskich duszach. Im i własnemu mocnemu charakterowi zawdzięczając, chłop oparł się tu naciskowi germanizacji i zachował wszystkie narodowe cechy. Przeszedł też przez lata meki z niezachwianą wiarą w Polskę i z tą cichą pogodą w duszy, która w ciężkich chwilach życia stanowi skarby tylko ludzi wierzących.

Lata wojny pogłębiły jeszcze w chłopie pomorskim jego przymierze z wiarą i Kościołem. Odwieczny wróg, niszczący na Pomorzu wszystko, co polskie, rzucił się w pierwszym rzędzie na księży i narodowych działaczy wiejskich. W swym niepojętym dla duszy polskiej okrucieństwie mordował ich tu po wszystkich parafiach i usiał bratnimi mogiłami kapłanów i chłopów całą naszą ziemię. Ta niewinnie przełaną krwią chłopca i jego duszpasterza oraz ostatnim pożegnaniem uściskiem obu nad mogiłą dołem w polu, Niemiec zespolił Kościół, kapłanów i lud pomorski na zawsze.

Ojczyzna dla pomorskiego chłopca jest — drugim największym umiłowaniem. Chłop odczuwa je w swej duszy z siłą żywiołu. Upodabnia swój stosunek do ojczyzny z rzewnym wspomnieniem o dobrej matce. Wzorem największego poety chłopskiego, Kasprowicza, nie wypowiada za często jej świętego imienia. Będąc naturą głębszą, zachowuje swe dla niej uczucia na dnie duszy. Ale w najskrytszym jej kątku podsyca stale płomień miłości, nie pozwalając mu gasnąć.

Spieszny też zawsze na wezwanie ojczyzny z gotowością niesienia ofiar dla niej. A gdy znajduje się ona w potrzebie, staje w jej obronie z tym samym desperackim uporem, z jakim opierał się przez całe wieki zalewowi germańskiemu.

Ziemie Zachodnie Polski dawały Rzeczypospolitej najwaleczniejsze pułki. Wstawiły się one w bojach na polu chwały zarówno wzorową dyscypliną, jak niedościgłym męstwem. Pomorzanie wnoszą do obowiązku żołnierskiego te same wartości, co i do innych zjawisk życia publicznego: rzetelność intencji i uczciwość w wypełnianiu zadania.

Po takich dramatycznych przeżyciach, po stracie pól wieloletniej pracy, rozpoczyna teraz chłop pomorski nowe życie w zupełnie odmiennych warunkach swego bytu.

W kataklizmie wojny, — wraz ze zmianą społeczno-politycznego oblicza kraju, zmieniło się także oblicze pomorskiej wsi. Nie ma na niej niemieckiego kolonisty, nie ma obszarnika. Jest natomiast repatriant, przybyły z Buga i okolic Borysławia,

Kołomyi, Stanisławowa. Wyrosły w innym środowisku, na ziemiach o znacznie niższej kulturze, zbiedzony zresztą niebylewale utratą całego swego dobra, osiadł on na Pomorzu z zadaniem stworzenia sobie nowych warunków egzystencji i zagospodarowania ziemi pomorskiej wyłącznie polskimi rekoma. Chłop — autochton na początku nie przychylił się do przybyszów. Czuł utajony żal do nich za zabieranie ziemi, o której od dzieciństwa sam marzył. Powolny w myśleniu, konserwatywny w poglądach, nie pojął zrazu twardego losu ludzi zmuszonych opuścić własne domy i pójść na tułaczkę w nieznaną.

Dopiero gdy się przypatrzył bliżej tym ludziom, zmienił do nich swój stosunek. Obserwując ich życie, uczuł dla nich litość. Bo znaleźli się oni w tak ciężkich warunkach, że tylko brak innego wyjścia zmusił ich do pozostania na przydzielonych im gospodarstwach.

Repatrianci w większych masach zaczęli przyjeżdżać na Pomorze dopiero późną wiosną. W większości przeznaczonych dla nich gospodarstw nie było już literalnie nic. Nie było nawet okien w domach, pieców w mieszkaniach, płyt w kuchniach.

Zaczynali oni zagospodarowywanie osad przeważnie na pustkowiu. Oczywiście bez inwentarza i bez siły pociągowej. Niebylewale wysiłkiem uprawiali ziemię, siali i zbierali.

Ciężka praca człowieka budzi zawsze szacunek innego ciężko pracującego człowieka. Chłop pomorski taką pracę repatriantów widział i przez szacunek dla niej — zbliżył się do nich. Wtedy poczęły topnieć

lody między ludźmi, mającymi odtąd tworzyć razem nową wieś na Pomorzu. I topnieją nadal.

Nie należy zamykać przed prawdą oczu: jeszcze nie wszędzie takie zmiany zaszyły. Uprzedzenia do repatriantów nie zniknęły dotąd w zupełności. Ale znikają. Na ostatnim zjeździe Związku Samopomocy Chłopskiej w Bydgoszczy chłop pomorscy mówili o repatriantach wyłącznie życzliwie. Jest to zjawisko bardzo radosne.

Chłop pomorski jest twardy, zamknięty w sobie, wyniosły. Chłop spod Wilna, Lidy, Grodna, Brodów, Lwowa ma w sobie coś z nastrojów wsi białoruskiej i ukraińskiej z tak urzekającym liryzmem opisywanej przez Lenartowicza i Weyszenhoffa, przez Goszczyńskiego i Szczucką.

Dwa odmienne temperamenty chłopskie będą się teraz ścierały z sobą. Z biegiem czasu wytworzą one w psychice ludu pomorskiego coś pośredniego między oschłością i wyniosłością, a rozlewnością i nadmiarem uczuciowości. Powstanie na Pomorzu nowy typ człowieka: rozumującego chłodno, czującego gorąco. Najpiękniejszy typ Polaka.

Do tego czasu wieś pomorska zapanowała o antagonizmach między autochtonami a repatriantami. Będzie ona stanowić jedną zwartą masę ludu. Przez uspołdownienie i oświatę podniesie się ekonomicznie, dojrzejże społecznie i zakwitnie kulturalnie.

I wniesie do polskiego życia najszlachetniejszy wkład: szczerą patriotyzm, bogactwo swego dorobku i rzetelny, obywatelski stosunek do zadań i potrzeb kraju.

Aleksander Rogalski

DUSZA NIEMIECKA W ŚWIETLE FILOZOFII

Ukazało się w druku nakładem instytutu Zachodniego studium prof. Bogdana Suchodolskiego pt. „Dusza niemiecka w świetle filozofii”. Zarówno niezwykła doniosłość i atrakcyjność tematu jak i nazwisko autora, znakomitego polskiego filozofa kultury i socjologa, a także sposób, w jakim zagadnienie to zostało przezeń opracowane, sprawiają, że praca prof. Suchodolskiego uważana być musi za wydarzenie naukowe i polityczno-propagandowe.

Autor postawił sobie za zadanie scharakteryzowanie duszy narodu niemieckiego, nie przez analizę i interpretację wypowiedzi filozofii niemieckiej na temat duszy niemieckiej, ale przez analizę i interpretację istotnych elementów tej filozofii. Uważa on głęboko zakorzenioną teorię o dwoistości kultury niemieckiej, na którą składają się mają przeciwieństwa Weimaru i Poczdamu i rozróżnienie „dobrych” i „złych” Niemców — za bezwzględnie fałszywe. Dusza niemiecka jest jednolita i jest właśnie taka, jaka się ujawnia w czynach Fryderyka, Bismarcka i Hitlera. Patrząc na duszę niemiecką przez pryzmat filozofa dojrzymy w niej to samo, co nam pokazały okropności tej wojny. Analiza filozofii niemieckiej w pełni to potwierdza, dając zarazem pełne zrozumienie działalności politycznej i kultury duchowej Niemiec. Takie ujęcie tematu jest ciekawsze, głębsze i oryginalniejsze.

Wbrew popularnym przekonaniom wyprawdzającym filozofię racjonalistyczną z racjonalistycznych ustrojów i systemów życia, do których przecież należała chociażby epoka Bismarcka w Niemczech, zasadniczą cechą filozofii niemieckiej jest głęboka, organiczna niechęć do racjonalizmu. Żaden z wielkich myślicieli niemieckich nie był racjonalistą, nigdy też Niemcy nie przeżyli głębiej racjonalistycznych prądów europejskich.

Walka z racjonalizmem podejmowana bywa najczęściej albo w imię wiary w wartość empiryzmu, albo w imię wiary w wartość religii. W filozofii niemieckiej nie ma miejsca ani na jedno ani na drugie. Walka z racjonalizmem w Niemczech jest przede wszystkim właśnie walką z empiryzmem, to znaczy z wiarą w istnienie obiektywnej, autonomicznej rzeczywistości. Źródłem tej niechęci jest to, że racjonalizm wyraża „jakieś podstawowe zaufanie do rzeczywistości i jej porządku”, tymczasem dla filozofii niemieckiej byt jest chaosem, który ludzkość powinna wedle swoich własnych ideałów i celów kształtować.

Jest to podstawa imperialistyczna w stosunku do rzeczywistości, której to postawie towarzyszy poczucie szczególniejszej misji, przypadającej rzekomo geniuszowi niemieckiemu w zakresie kształtowania i urabiania tej chaotycznej rzeczywistości. Stąd się bierze przyzwyczajenie do naciągania i sofistycznego interpretowania, które stało się nieodłączną cechą wszystkich niemieckich przedsięwzięć. Pozornie przecząca temu ścisłość, drobiazgowość i systematyczność niemiecka stanowią tylko właściwość metody pracy, właściwość wyłączenie formalna, a formalizm znowu jest charakterystyczną cechą umysłowości niemieckiej.

Ale walka z racjonalizmem i empiryzmem w Niemczech bynajmniej nie oznaczała obrony stanowiska religijnego. Niemcy w zakresie religii nie stworzyli niczego, co mogłoby się mierzyć z dokonaniem innych krajów, żeby tylko wymienić nazwiska Pascala, Newtona i Kierkegaarda. Wprawdzie Niemców cechują w wybitnym stopniu zamiłowania i spekulacje metafizyczne, ale metafizyka może nie mieć nic wspólnego z religią, a nawet może być jej wrogiem. Taką jest właśnie metafizyczna filozofia niemiecka, która zawsze znamionowa-

ła głębokie tendencje antyreligijne, a zwłaszcza antychrześcijańskie, idące w parze z dążeniami w kierunku stworzenia nowej religii, religii filozoficznej. Wyraziły się one w sposób najbardziej jaskrawy w filozofii Fryderyka Nietzschego. Walczył on nie tylko z metafizyką chrześcijańską ale także — i to przede wszystkim — z moralnością chrześcijańską jako moralnością rzekomo ludzi słabych i zdegenerowanych. Jednocześnie wielbił religijną tradycję germańską, wierząc w możliwość pełnego odrodzenia się germańskiego pogaństwa. Te idee podchwyczone zostały z zapałem przez wszystkie prądy nacjonalistyczne, utożsamiające walkę z chrześcijaństwem z walką z Rzymem, który swą cywilizacją miał zdeprawować duszę germańską. Widzimy więc, że współczesny neopogański ruch hitlerowski miał głębokie korzenie w całej duchowej tradycji niemieckiej i że współdziałała z nim te wszystkie elementy ideowe walki z religią, które znajdujemy na całej przestrzeni dziejów niemieckich od Lutera poprzez Nietzschego i Wagnera aż do Ludendorffa i Rosenberga.

Jeśli walka z racjonalizmem, empiryzmem i z religią określa filozofię niemiecką od strony negatywnej, to od strony pozytywnej określa ją idealizm niemiecki, tj. ten kierunek filozoficzny, który się mieścił w okresie między Kantem a Heglem i który zawsze był uważany w Niemczech, a także przez innych za najbardziej oryginalną ich filozofię narodową.

Idealizm niemiecki głosił, że rzeczywistość nie istnieje sama w sobie dostępna ludzkiemu poznaniu, lecz jest wytworzona przez naszą świadomość. Obraz świata stał się tworem człowieka. To co otaczało człowieka, to był on sam, projekcja jego duszy. Stąd krok do przyznania sobie praw mówienia i działania w imię bytu, praw egzekwo-

wanych w sposób dogmatyczny. Ponieważ według idealizmu niemieckiego świat pozostaje tak długo chaosem, dopóki go nie ukształtuje duch ludzki, idealizm za istotę ducha uważa działanie. Rzeczywistość jest ustanowiona przez ludzką jaźń przeszkodą mającą na celu pobudzenie do wysiłku. Ten aktywizm ma charakter praktyczny: „Życie, to znaczy tworzyć samowładnie”. Przejawia się on również w historycznych skłonnościach idealizmu niemieckiego. Historii, pojętej jako działalność ludzkiego ducha, przysługuje wartość najwyższa. Nie ma w niej miejsca na Boga, jednostka bowiem zamknięta w ramach historycznego potopu nie ma możliwości nawiązania łączności ze światem wiecznym. Historyzm głosił, że wszelkie wartości są względne (relatywizm), a tym samym sankcjonował samowładność ludzi silnych, — bądź też propagował, że całe dzieje mają jednolity kierunek wiodący do jednego określonego celu (determinizm), a tym samym upoważnił człowieka do wszelkich gwałtów w stosunku do teraźniejszości, jeśli mu nie jest posłuszna.

W Niemczech ponadto istnieje bardzo silny nurt materializmu filozoficznego. Dwa te prądy — rzecz niezmiernie ciekawa i znamienita — nie są wcale w Niemczech sprzeczne, lecz wiążą się ze sobą organicznie. W najgłośniejszym z dzisiejszych prądów niemieckich — egzystencjalizmie

zlewają się one nawet zupełnie w jedną syntezę. Przeświadczenie, iż człowiek wyrasta z określonej epoki historycznej, z określonych warunków społecznych i gospodarczych, z określonego podłoża geograficznego i rasowego, miało być wedle egzystencjalizmu najlepszą szkołą t. zw. realistycznego myślenia. Tezą egzystencjalizmu jest, że ład w świecie stwarzać i utrzymywać może tylko przemoc.

Dla filozofii niemieckiej nie ma prawdy ani fałszu w znaczeniu tradycyjnym, anty-czno-chrześcijańskim. Prawda jest tworem ludzkiego ducha, prawda wypływa z działania ludzkiego i z ludzkich dążeń. Stąd uwielbienie mitów. I stąd głośne dzieło teoretyka narodowego socjalizmu Alfreda Rosenberga p. t. „Mit XX wieku”.

Na tych samych założeniach opierając się filozofia niemiecka pozwala na modyfikowanie pojęć etycznych, zależnie od tendencji praktycznych. Doprowadziło to do uwielbienia siły jako jedynego kryterium dobra. Stanowisko takie nadało zasadniczy charakter polityce niemieckiej, której podłoże ideowe analizuje autor przekonywująco i wnikliwie.

Ta negatywna ocena filozofii niemieckiej budzić może sprzeciw u kogoś, kto zwykł był uważać ją za przykład najwyższej bezinteresowności i uwznioślenia. Ale autor wykazuje w sposób przecinający wszelkie wątpliwości, że filozofia ta przed-

stawia się zupełnie inaczej w oczach niemieckich, aniżeli w oczach europejskiej, i że inne zupełnie było jej oddziaływanie w kraju a inne za granicą. Działo się tak dlatego, iż filozofia niemiecka ma szczególny dar mistyfikacji. Używa ona słów i haseł pociągających swą szlachetnością, ale treść ich określa w sposób zupełnie swoisty, brutalny i odrażający. Czytając ją, mimowoli podsuwamy tradycyjne powszechne znaczenia słowom, którymi się ona posługuje, wskutek czego ulegamy jej urokowi i stajemy się ofiarą głębokich nieporozumień. Zdemaskowanie tego fałszu i perfidii filozofii niemieckiej jest wielkim osiągnięciem prof. Suchodolskiego.

Studium prof. Suchodolskiego powinno zostać rzucone na rynek zagraniczny, gdzie może zainicjować generalny atak na tą najsilniejszą warownię narodu niemieckiego, którą stanowiła jego filozofia, a z którą nie umieli sobie poradzić nawet najwięksi przeciwnicy Niemiec.

Prof. Suchodolski zdruzgotał ją w sposób niezwykle szczęśliwy i skuteczny. Wydaje się wreszcie logicznym i koniecznym, by po filozofii zabrano się z kolei do muzyki i poezji niemieckiej. Praca prof. Suchodolskiego stanowiła by pierwszy człon swoistej trylogii myślowej, która mogłaby się stać potężną bronią dla nas przeciwko Niemcom.

Aleksander Rogalski

Józef Kostrzewski

Z PRADZIEJÓW POMORZA (Kontakty Pomorza z innymi krajami)

Ludność Pomorza okresu wczesnohistorycznego utrzymywała początkowo stosunkowo słabe kontakty z zagranicą. Dopiero około połowy X wieku zaczęły nawiązywać się żywsze stosunki z innymi krajami, oparte na wymianie handlowej. Wyraziło się to w pojawieniu się na Pomorzu dużej ilości przedmiotów obcego pochodzenia, spotykanych częściej w grobach i osadach tego czasu, najliczniej jednak w skarbach srebrnych. Ogółem znamy z obszaru Pomorza, między Odrą a Wisłą około setki skarbow z X i XI wieku. Wykopaliska te, składające się z ozdób srebrnych miejscowych i importowanych, monet różnego pochodzenia oraz bryłek srebra topionego, stanowiły majątek ruchomy ludności miejscowej, zakopany w chwili niebezpieczeństwa w naczyniach glinianych, w workach płóciennych lub po prostu w kawałku szmaty lnianej. Ponieważ monety, a często także ozdoby, są w znacznej części pocięte lub polamane w kawałki, dlatego mówimy tu o skarbach słańcowych. To łatanie czy cięcie monet i ozdób tłumaczy się ówczesnym zwyczajem płacenia za towary pewną odważoną ilością srebra, liczenie bowiem pieniędzy na sztuki było wobec nierównej wielkości i wagi kursulającej u nas monety zupełnie niemożliwe. Miniaturowe wagi, służące wyłącznie do odważania srebra, znaleziono w Ciepłem w pow. gniewskim oraz w Łaszyńcu i Radzynie, w pow. grudziądzkim, ciężarki brązowe do wag zaś w Ciepłem, w Pętrowicach w pow. morskim i w Kaldusie, w pow. chełmińskim. Niektóre skarby są bardzo znaczne, n. p. skarb z Dąbrowy, w pow. sępoleńskim wagi 4 kg, a skarb z Piaszków w pow. kamieńskim, na Pomorzu szczecińskim, nawet 10 kg. Obok srebra najpospolitszym miernikiem wartości były platy cienkiego płótna, skąd pochodziła nasza wyraz **placieć** i **zapłata**.

Najbliższe stosunki łączyły Pomorze ze Szwecją, co jest zrozumiałe wobec nadmorskiego położenia tej dzielnicy oraz ruchliwości Wikingów szwedzkich, którzy jako kupcy i korsarze nawiedzali nieraz południowe wybrzeża Bałtyku. Ze Szwecji płynął główny strumień srebra w postaci surowca oraz monet arabskich, bizantyjskich i zachodnioeuropejskich, które Wikingowie zdobywali w czasie wypraw łupieskich w głąb ziem ruskich i podczas napadów na zachodnie wybrzeża Europy. Poza tym dostawały się też na Pomorze ze Szwecji żelazne miecze obosieczne (Złotoria, pow. toruński) z brązowymi okuciami pochwy (Oksywie pow. morski i Dąbrowa, pow. chojnicki), inkrustowane srebrem groty oszczepów (Grudziądz), topory z ostrzem symetrycznym lub opuszczonym oraz młoty brązowe (Stefanowo i Łętowice, pow. morski). Wreszcie nawiązywały tu też z północy niektóre ozdoby skandynawskie, n. p. srebrne wisioriki tarczowate, amulety w kształcie młota Thora, naszyjnik plectone oraz duża ilość paciorków ze szkła i emalii, wyrabianych na Wschodzie: w Egipcie czy w Syrii. W Ciepłem, w pow. gniewskim, znalazł się nawet grób kupca wikingiego, wyposażony

w miecz obosieczny z rękojeścią wykładaną srebrem i miedzią, w podobnie zdobione strzemiona, wędzidło i okucia uprzęży, w żelazny grot oszczepu oraz małą składaną wagę brązową z 9 odważnikami brązowymi. Zabytki te dobrze określają podwójny charakter Wikingów, będących zarazem kupcami i wojownikami. Poza tym grobem brak jednak na Pomorzu wszelkich znalezisk, mogących świadczyć o jakimś chociażby przejściowym osadnictwie Wikingów na tej ziemi, a tak samo nazwy miejscowe, uważane dawniej za wikingiście, nie mają w większości nic wspólnego z Wikingami. N. p. nazwa Roze-wia pochodzi dopiero z XIV w. i nadana została — według Ks. Kujota — przez komtura krzyżackiego z Gdańska wsi Chłapowu ze względu na pobliski przylądek wysoki (Riesenhaupt, w niemieckim średniowieczu Rasehupt) a tak samo nie są nazwami wikingiście Oksywie, Hel i Słanowo.

Drugą wymianą handlową czy rabunku dostawały się też na odwrót rozmaite wyroby pomorskie do Szwecji, n. p. kablączki skroniowe, narodowa ozdoba kobiet słowiańskich, srebrne filigranowe kolczyki i paciorki oraz duża ilość naczyń glinianych, w których zapewne przewożono miód sycony z Pomorza. Świadectwem stosunków pomorsko-szwedzkich w okresie wczesnohistorycznym jest też zapożyczenie z północy polskiego wyrazu śledź (z szwedzkiego sild), z drugiej strony zaś także Szwedzi przejęli z języka słowiańskiego wyraz targ (po szwedzku torg) oraz kilka podanych niżej nazw statków.

Nieco starsze były związki Pomorza z obszarem staropruskim i z innymi krajami nad wschodnim Bałtykiem. Pomorzanie sprowadzali stamtąd wyłącznie ozdoby, n. p. brązowe wisioriki podobne do dzwoneczków, kształtu kuliste-go lub stożkowatego (Bąkowo, pow. gdański, Gruczno, pow. świecki, Kosakowo, pow. morski), srebrne bransolety taśmowate z ornamentyką stemplową (Łążyń, pow. lubawski), naszyjnik brązowy, splecione z dwóch drutów (Unieradze, pow. kartuski), podobne okazy srebrne zakończone głowami zwierzęcych (Dąbrowa, pow. sępoleński) i inne rzadsze formy. Ludność pomorska zapożyczyła też z obszaru wschodniobałtyckiego zwyczaj zdobienia skórzanych pochwec noży okuciami brązowymi. Natomiast Prusowie importowali z Polski, t. zn. z ziemi chełmińskiej czy też z Mazowsza naczynia gliniane cylindryczne, naśladujące kształt włader drewnianych, a cała ceramika wczesnohistoryczna Prusów i Jądzwingów zdradza wszczepny wpływ garn-carstwa polskiego, od którego ludy te przejęły zarówno samą technikę koka garncarskiego, jak i całą ornamentykę.

Wisła i jej główny dopływ Bug łączyły Pomorze z Rusią, skąd docierały na Pomorze n. p. gliniane naśladowanie pisanek z barwna pole-wa, (Kaldus, pow. chełmiński), ciężarki do wze-cion (t. zw. prześilki) wykonane z różowego łup-

ku wołyńskiego, występującego w okolicy Owru-cza, oraz niektóre ozdoby, n. p. pierścionki skrę-cane z 2 lub 3 drutów brązowych czy srebrnych i wisioriki półksiężycowate. Za pośrednictwem Rusi utrzymywali też Pomorzanie może niektóre wyroby wschodnie, n. p. część paciorków ze szkła, emalii czy półszlachetnych kamieni oraz pierścionki z barwnego szkła, wyrabiane w Egip-cie czy Syrii (Kaldus, pow. chełmiński i Grucz-no, pow. świecki), a zapewne też muszle Kaurl, pochodzące z Czerwonego Morza, jakie wykopa-no w grobie kobiecym w Grucznie.

Natomiast zamaczają się na Pomorzu tylko nikiłe ślady stosunków z Czechami, Węgrami i Niemcami, głównie w postaci znajdujących tu monet z tych krajów. Z wyrobów niemieckich wymianić można poza tym jeszcze grot oszczepu ze skrzydełkami (Belno, pow. świecki), który jednak mógł się tu dostać za pośrednictwem szwedzkiem. Oczywiście nie wszystkie przedmioty obcego pochodzenia, znajdowane na Pomorzu, są świadectwami handlu, bo część ich mogła się tu dostać także jako łup z wypraw wojennych.

Handel nie może się rozwijać bez istnienia dróg. Jakkolwiek w okresie wczesnohistorycznym dużą rolę odgrywała jeszcze komunikacja wodna, to jednak istniały też niewątpliwie drogi lądowe, udostępnione przez człowieka, a więc przerabiane przez puszcze i uzupełniane groblami (po staropolsku gaćkami) przez bagna i brodami, wreszcie promami czy mostami przez rzeki. Świadczą o tym zarówno pewne dawne nazwy miejscowe (n. p. Swornwaćle, t. zn. zwiera-ające się groble, Brodnica, Mosty), lecz i wykopa-liska. Drogi moszczone przez bagna, datowane — co prawda bez dostatecznego uzasadnienia — na okres rzymski, znamy np. z okolicy Bagartu w pow. sztumskim, szczątki mostu zaś odkryto n. p. w Parsacku, w pow. szczecińskim. Do komunikacji lądowej służyły latem wozy, zimą sanie, poza tym zaś używano też koni do jazdy wierzchem, o czym świadczą znajdowane wędzida żelazne, ostrogi i strzemiona. Przy przekraczaniu rzek i jezior posługiwano się promami oraz płetami (płatami), które później nazwa-limy z niemiecka tratwami. Do żeglugi śródlądowej służyły członia drubane z jednego pnia, na morze wypływano w dużych łodziach, wykonywanych z grubych desek łupanych i poruszanych głównie wiosłami, ale zaopatrzonych także w maszt z jądrem czyli żaglem.

Liczne znaleziska łodzi wczesnohistorycznych szczególnie w okolicy Gdańska i w powiecie morskim świadczą o tym, że Pomorzanie, podobnie jak inni Słowianie nadbałtyccy, byli mistrzami w budowie statków morskich. Potwierdzają to też ówczesne świadectwa historyczne, wspominające o śmiałych wyprawach słowiańskiej ludności nadbałtyckiej aż na wybrzeża Dani i Norwegii oraz fakt, że w językach skandynawskich istnieje kilka nazw statków, zapożyczonych od Słowian n. p. łódź, piem i korab.

Dyweryja niemiecka była tak przygotowana przy poparciu desantem wojskowym, że Niemcy byli absolutnie pewni sukcesu. Tymczasem spotkała ich niespodzianka. Społeczeństwo bydgoskie, opuszczone przez ówczesne władze i policję, samorzutnie stawilo opór. Oddziały wojskowe, wycofując się z frontu, znalazły w ludności cywilnej sprzymierzeńca do walki z skrytobójczymi dywersantami. Był to odruch patriotyzmu i bohaterstwa. Bydgoszcz nie uległa się zbrojnej w tanki przemocy hitlerowskiej, nie załamała się pod swistem spadających bomb, Bydgoszcz — niby reduta Ordoņa ziemi pomorskiej — walczyła.

Wkraczające wojska niemieckie spodziewały się znaleźć tu czyste już od elementu polskiego „praniemieckie” miasto — a zastały drużyny cywilów z białoczerwonymi opaskami na ramieniu — Straż Obywatelską.

Typowo germańska wściekłość ogarnęła zdobyców.

Przechowane w biurach ewidencji ludności a prowadzone przez Niemców spisy świadczą, że w walkach 3 — 5 września zginęło w Bydgoszczy 238 miejscowych wielbicieli „fuehrera”. Z całą pewnością w walkach tych zginęło również tylu — o ile nie więcej — Polaków. Jednakże hitlerowski reżim rozgłosił światu, że Polacy wymordowali w okrutny sposób wiele tysięcy miejscowych Niemców. Liczba rzekomych ofiar rozkrzyczanych przez propagandę hitlerowską „bestialstw polskich” podczas „krwawej niedzieli” doszła w „biurze rachunkowym” Goebbelsa do 85 tysięcy.

Polacy musieli więc wymordować nie tylko wszystkich Niemców miejscowych, ale chyba jeszcze wiele tysięcy importować przed tym z Rzeszy. Ci „wymordowani” Niemcy miejscowi stali się potem najokrutniejszymi prześladowcami ludności bydgoskiej.

Kłamstwa propagandy niemieckiej zakrojone były na szeroką skalę. Sprowadzono do Bydgo-

szczy dziennikarzy zagranicznych, a propagandowymi broszurami o „Blutsonntagu” zaiano całą Europę.

* * *

Cel propagandy o „krwawej niedzieli” był bardzo przejrzysty. Hitlerowcy zastosowali wobec Polaków metodę całkowitego wyniszczenia, użycia do najcięższych prac przy najlichszym odzywieniu. „Śmieliście stawiać nam opór — teraz musicie pisać swą krwią i pracą”.

Zamiar utworzenia z Polski „lebensraumu” a z Polaków — białyh niewolników wymagał jakiegoś wytumaczenia przed światem. Obłuda niemiecka dała temu tłumaczeniu nazwę „krwawej niedzieli bydgoskiej”. Rzekomymi bestialstwami Polaków w Bydgoszczy chciano usprawiedliwić swoje postępowanie wobec podbitych Polaków.

* * *

Co się w Bydgoszczy działo po wkroczeniu Niemców — jest nam wszystkim znane. Widomy skutek terroru — to masowe groby zamordowanych Polaków. W samej Bydgoszczy do chwili obecnej znane są groby 1500 ofiar, których ekshumacja odbędzie się stopniowo w najbliższym czasie. Ilu mieszkańców wyginęło w okolicznych lasach, ilu spalono w piecach krematoryjnych, ilu wymordowano w innych okolicach Polski — tego na razie nie jesteśmy w stanie stwierdzić. Będzie to cyfra napewno sięgająca kilkunastu tysięcy.

Metody propagandy niemieckiej, zwłaszcza fałsze o „krwawej niedzieli bydgoskiej” muszą być wobec całego świata napiętnowane.

Na obłędny krzyk hitlerowski — my odpowiemy obecnie spokojnym wyliczaniem tego, co Niemcy dokonali przez czas swej okupacji w Bydgoszczy.

Zeznania tych, którzy przeżyli piekło prześladowań i mogli tych, którzy padli — powie-
dzą światu o „krwawych latach Bydgoszczy”.

Alfred Świerkosz

WARMIA

Gdyby w językoznawstwie wolno było poddawać się impresjom, to przetłóżyłbym bez wahania słowo Warmia na — „jezióra i lasy”. — Z tych bowiem dwu elementów składa się ten osobliwie piękny zakątek Prus Wschodnich. Jezióra i lasy wypełniają go niemal całkowicie w tysiącach przedziwnych wariacji napisanych ręką Stwórcy. Kiedy się stanie na szczycie jednego ze wzgórz i spojrzysz na ten cichy, zielony, błyszczący taflami jezior i owiany nieuchwytną melancholią kraj — trudno oderwać oczy. Chciałoby się wolać, pokazywać: patrzeć, patrzeć, ta ziemia, to skondensowane piękno jest nasze, polskie.

Nie wiem dlaczego, ale są strony, gdzie bawiać, pragnęłoby się stale podkreślać, że to nasze. Może dlatego, że mnie, jako urodzonemu w czasach niewoli, nasza wolność nie stała się jeszcze czymś tak zrozumiałym, jak nieodzowność powietrza. Zbyt często myślało się w owych złych czasach o tych i innych stronach naszej ojczyzny, jak o pięknym, niezszczeniym śnie.

Na Warmji czujemy się bezpieczni, mimo, że nie tak dawno przeszła tu krwawa stopa wojny i że tak mało ludzi tu pozostało. Ci, co pozostali, to ludzie, którzy umieli od dawna Polskę zachować w sobie. Radość z ich oczu bije — aż za serce chwytają...

I może dlatego tak bardzo piękna jest Warmia, i może dlatego tak ją bardzo umiłowaliśmy, że mi się teraz po nocach śni Braniewo, Frombork, Liebark, Bisztynek, Reśla, Olsztynek, że myśl mi błądzą po małych zaułkach szukając cieni umarłych geniuszów: Kopernika, Danyszka, Hozjusza, Ignacego Krasickiego, których to cienie są najwielką ozdobą Warmii dla oczu, które niewidzialna dostarczać potrafią.

I może dlatego jeszcze pokochałem tę ziemię, że nosi Polskę w swym sercu.... Przeszłością swoją Warmia jest dumna i szczęśliwa. Dumą, co nie w oczy bije, jeno kadziłe palec na usta zbyt głośnego przybyścia i każe słuchać uważnie o czym mówią strzeliste wieżycy kościołów i kamienie w miastach.... Słucha się je w noc księżycowe — opowiadają dziwne powieści, których nikt nie wytłumaczy, a tylko zatęskni za czymś, co nazwy nie ma...

Warmia żyje przeszłością.

Tu Grzegorz IX, wiemy wyobrażeniem średnich wieków, ogłasza Prusy, nie znajdujące się pod berłem chrześcijańskim, względnie chrześcijańskiego księcia za własność stolicy apostołskiej i oddaje je prawem lennictwa zakonowi niemieckiemu St. Marii Jerolimskiej. Na mocy zastrzeżonego prawa zwierzchnictwa, mógł w r. 1243 papieski poseł Wilhelm de Modena rozdzielić w Anagni ziemię pruską na 3 diecezje, w których obrębie wytworzono też trzy samodzielne biskupstwa: samborskie, warmińskie i pomorzaniańskie. Lecz mimo występujących trzech kandydatów do mitry warmińskiej, polecanych nawet bardzo gorąco przez samego papieża, arcybiskup Armaghski Albert Suerbeer wzbraniał się wysłwiedzić któregoś z nich na biskupa, wyuczając intuicyjnie nie małe niebezpieczeństwo dla przyszłej samodzielności i wogóle godności biskupiej z wyboru duchownych zakonu krzyżackiego i dlatego Warmia do roku 1250 własnego biskupa nie miała.

Dopiero następca Sauerbeera na urządzie posełskim Piotr de Albano pospieszył co rychłej zadocność uczynić życzeniem papieskim i w dniu 28 sierpnia 1250 r. w kościele dominikańskim w Valenciennes wysłwiedził na biskupa warmińskiego kapelana krzyżackiego braćszka Anzelma. Na podstawie dyplomu z dnia 27 grudnia 1254 r. potwierdzonego przez Ojca św. w dniu 10 marca 1255 r. z całą ścisłością oznaczone są granice biskupstwa warmińskiego. Nie mamy zamiaru zbyt dużo rozwodzić na temat „Anzelmowej dzielniczy”, wspomniemy tylko, że biskupstwo to stanowiło trójkąt z prostymi niemal jak strzała granicami. Jeden nieco tępy kąt dotykał zatoki Fryskiej, nad którą niedaleko od siebie leżało miasto warmińskie Braniewo i Frombork. Od Braniewa ciągnęła się północna granica w prostym kierunku na Liebark Warmiński (Hellsberg nad Łyną), Bisztynek do Reśla, stąd zwracała się w południowo-zachodnim kierunku na Biskupiec, aż do Olsztyńka. Pod Olsztyńkiem granica zmieniała kierunek na północny i niedaleko Miłuz przekraczała rzekę Passargę, dotykając pomiędzy Tołkmytem a Fromborkiem zatoki Fryskiej. Granice te nienaruszenie zachowały się do r. 1772 i pomimo, że Prusacy w roku tym samorzad i niezależność wewnętrzną biskupstwa zniesili, granice nie naruszyli. Prace pierwszego biskupa warmińskiego brata Anzelma skierowane ku rozszerzeniu wiary Chrystusowej były bardzo niłkie, okrucieństwa krzyżackie zrobiły swoje. To jednak znamiennym jest, że biskup ten piastujący swą wysoką godność, pokrzyżował rachuby krzyżackie i pokładane w nim nadzieje. Wyńlesiony bowiem na tron biskupi z tym przeznaczaniem, że będzie ślepym narzędziem i służycy będzie niecnym i skrytym

Mieczysław Dereżyński

DAWNY GDAŃSK (Wiersze Damrotha)

W 1886 r. ukazały się w Gdańsku „Szkice z ziemi i historii Prus Królewskich” Czesława Lubickiego — wrazenia z podróży po ziemi pomorskiej ks. Konstantego Damrotha, ujęte w formie listów do przyjaciół.

W tym to interesującym sui generis „Baedekerze” pomieścił autor także szereg swych utworów poetyckich z cyklu „Baltica”. Wiersze te są na ogół znane.

Ale w książce tej (notabene skonfiskowanej) znajdują się drobne wierszyki, które nie weszły dotąd do zbioru poezji ks. Damrotha. Tu więc je przypominamy. Są to wiersze z Gdańska.

Autor zwiedzając kościół Panny Marii w Gdańsku, dłużej zatrzymał się przed słynnym obrazem, przedstawiającym Sąd Ostatczy.

„Długo stałem zadumany — pisze Damroth — przed tym arcydziełem, nie mogąc się od niego oderwać. Nie znam się na sztuce, ale zdaje mi się, że choćbym był najnamietniejszym i najchłodniejszym krytykiem, zapomniałbym wobec tego obrazu o swym rzemiośle. Wszakże też nie dla przemądrych krytyków tworzył mistrze pędzla, pióra i kielni murarskiej swe dzieła... ale dla chwały Boga i Jego pobożnych czcicieli; w tej mierze osiągnął twórca Sądu Ostatczego u mnie swój cel najzupełniej: jego obraz był dla mnie kazianiem zajmującym, przerażającym, pocieszającym i budującym. Te wszystkie uczucia odywały się we mnie z kole, ciekawość ustąpiła rychło miejsca zbawiennej trwodze, która zimnym dreszczem przeszła po ciele i duszy, aby wzruszyć serce do żalu za grzechy popełnione, wlać w nie słodka otuchę i nadzieję w miłosierdzie Boże i wywołać postanowienie poprawy życia, stwardzone cichą iza w oku i błagalnymi słowy na ustach:

Sędzio, Boże sprawiedliwy
Daruj wszystko, gdy rzewliwy
Płacząc błagam przebaczenia,
Nim się stawię do sądenia!
Moje prośby nie są godne,
Bom Twe dziecko jest wyrodne,
Przecież błagam Cię serdecznie,
Nie daj gorzyć w piekle wiecznie.
Daj mi miejsce w świętym gronie,
Bądź mi, Jezu ku obronie.

Wiersz ten niewątpliwie autorstwa Damrotha technie żywym uczuciem, a cechuje go wiara i nadzieja w miłosierdzie Boże.

Zwiedził Damroth dalej gdańskie archiwum miejskie, kasę, izbę posiadzeń letnią i zlmową w ratuszu.

„Wszystkie te pokoje — stwierdza z zachwytem — są pełne starożytnych ozdób rlniętych, nieraz bogato pozłacanych, portretów, biustów, malatur ściennych i napisów, niektórych bardzo ciekawych i zabawnych. Z ostatnich przytaczam przynajmniej dwa, jako znamionujące doskonale dawniejsze czasy i dawniejszych ludzi. Nad drzwiami kancelarii czytasz:

Amice sufficit tibi amicitia nostra gratis.
Laborem vero nostrum solve pecunia paratis,
Si res vis, res porta, pro verbis verba reporta.

To jest:

Nasza przyjaźń, mospanie,
Darmo ci się dostanie;
Lecz za naszą pracę
Prosimy o placę.
Żądasz czynów — pokaz czynny,
Na słowa — słów skutek jedyny.

Nad kominkiem zaś jest czterowiersz łaciński, który tak przekładam na polskie:

Mile grzeja płomień z daleka
Lecz z bliska boleśnie dopieka;
Wolno na nasze biurka spojrzeć,
Lecz nie wolno w papierach szperać.

Powiadam, że wiersze te znamionują doskonale owe złote czasy, pełne zdrowego dowcipu i ogłady wrodzonej, bo wypowiadają prawdę w sukienice alegorycznej i żądają rzeczy, niekoniecznie mile, ale w sposób grzeczny i dowcipny, który nie tak łatwo wywołuje niesmak”.

Znajdujący się ongiś w gdańskim Dworze Artusa na ścianie sali biesiadnej dwuwiersz:

Hic maddi fratres spumantia pocula siccant,
Hic nihil est aliud vivere quam bibere.

przetłumaczył Damroth w ten sposób:

Tu bracia od mokiego cechu wysuszają
Kipiące puchary, którzy za godło mają:
Kto pije — ten żyje!

Wymienia poeta poza tym liczne pamiątki polskie w Gdańsku, stwierdzając na wielu miejscach, że Gdańsk to miasto polskie. Przypomina też „owe złote czasy, pełne dowcipu i ogłady wrodzonej” dawnych gdańszczan, tak odmiennie od czasów dzisiejszych!

* * *

Oto garść refleksyj gdańskich ks. Damrotha sprzed 80 lat: trochę rozważań historycznych i krajoznawczych, jeden utwór religijny i trzy polskie tłumaczenia epligramatów łacińskich z Gdańska, tłumaczenia wcale udatne.

Jako tłumacz średniowiecznej poezji łacińskiej dał się Damroth poznać raz jedyny tylko i to właśnie w przytoczonym wypadku.

Te „traszki” gdańskie wraz ze wspomnianym wierszem religijnym powinny się znaleźć w kompletnym wydaniu pism poetyckich Damrotha w dziale „ineditów”, których liczba napewno się powiększy po skrupulatnym przewertowaniu czasopism pomorskich z lat 1871 — 1883, kiedy to poeta był dyrektorem seminarium nauczycielskiego w Kościerzynie na Kaszubach i płodem swego pióra obficie zasilał wydawnictwa polskie na Pomorzu.

zamiarom zakonu, stał się opoką samodzielności i świetności katedry warmińskiej.

Przez utworzenie kapituły, która obdarzyła licznymi przywilejami i prawami, zdołał uchronić biskupstwo przed wszystkimi zamachami, zmierzającymi do podbicia biskupstwa pod zależną władzę Krzyżaków. Prawa i przywileje były tak przewidziane, że zakusom krzyżackim biskupstwo i kapituła zdołała się oprzeć przez cały okres panowania Krzyżaków.

Po Anzelmie na widownię dziejową występuje cały szereg najgodniejszych mężów. Pragnęli oni nie tylko rozszerzyć wiarę św. ale i wyłeczyć z ran zadanych podbitemu narodowi przez miecz krzyżacki.

W późniejszych wojnach Stanów Pruskich i Polaków przeciw Zakonowi, ziemia warmińska wiele ucierpiała, chociaż polityka biskupa starała się zachować jak najściślej neutralność. Pokój toruński, zawarty w dniu 19 września 1466 r. zmienił zupełnie stosunki biskupstwa, z poddanych krzyżackich stali się biskupi lennikami polskiej korony. Nierozważnym oddał wzięciem złączone z Polską w wypadkach dziejowych, dzieliło biskupstwo warmińskie wszystkie losy Rzeczypospolitej, aż do r. 1772. Od tej chwili straciwszy swą samodzielność polityczną tworzyło integralną część Prus.

Biskupi i prałaci warmińscy, to w przeważającej liczbie Polacy. Wspomnimy choćby Hozyusza (1551—1579), z którym na tronie biskupim zasiadł zastęp polskich dostojników kościelnych, wywierających wielki wpływ zarówno na sprawy polityczne, państwowe i religijne. Hozyusz, Marcin Kromer, Szymon Rudnicki, dbali też nade wszystko o język polski. Zwykli polski dziełki nim rozlewał się szeroko po całych Prusach i słusnie wyraża się jeden z naszych pisarzy, że „nie wiedzieć, czyby dziś jeszcze było wielu Niemców w Prusach, gdyby nie rok 1772, który Warmię i Prusy wydał w ręce Prusaków“. Ostatnim biskupem polskim na Warmii przez koronę polską mianowanym był znakomity pisarz i satyryk Ignacy Krasicki, z rodziny całkowicie w ciągu wieków spolszczonej pochodzący i biskup Andrzej Stanisław de Hatten, który zmarł tragicznie z rąk zabójcy. Do wybitnych postaci w poczcie znakomitych biskupów warmińskich, należy bezspornie Łukasz de Watzelrode. Dla Polaków nazwisko to nie jest obojętne, gdyż jest ono blisko spokrewnione z Kopernikiem. Orodzie tym historia notuje, że w roku 1385 Fryderyk Watzelrode z Elbląga osiadł w Toruniu, syn jego również imieniem Fryderyk odbywał studia uniwersyteckie w Krakowie w roku 1482, a wnuczka jego, córka Łukasza dziedzica na Stawkowie, wydała na świat naszego nieśmiertelnego Kopernika.

Co się tyczy samej ziemi warmińskiej, to w dokumentach napotyamy Warmię jako ziemię samodzielną po raz pierwszy pod nazwą Ermeland w r. 1231, a wyraz Warmia czyta się w 7 lat później w przywileju Świętopelka.

Kolonizacja niemiecka biskupstwa warmińskiego a z tym i całych Prus rozpoczyna się na dużą skalę z biskupem Henrykiem i Flemingiem. Obsadzili on północną część biskupstwa przybyłymi z północnych Niemiec, skąd sam pochodził. Natomiast niemiecki był duży, pomimo to jednak obyczaj niemiecki nie zdołał wyprzeć regionalnego budownictwa. Zmagania z kolonizacją niemiecką były ciężkie. Zwykli wrogowie jednak w niektórych okolicach wzięli górę, albowiem Niemiec, który uzyskiwał jakie takie wpływy stanowiąco sprowadzał natychmiast swoich krewnych, którzy gdzieś w Niemczech w dziedzi niepodatku żyli i obdarzał ich hojnie ziemią i dobrami.

W takich warunkach nie dziw, że zwykli niemiecki rozrastał się szybko i obsiadywał Prusy jak sarańcza, tak, że w 300 lat później w północnej części Warmii nie zostało ani śladu pierwotnej ludności pruskiej. Zwykli niemiecki rozprzestrzenił się z północy ku południowi, widać to najlepiej z zakładanych osad a obok nich miast. Istniejące miasta Niemcy obwarowywali i wypierali dawnych mieszkańców.

Braniewo (Braunsberg) dziś największe miasto warmińskie, leżące niedaleko ujścia Passargi posiada wiele pamiątek przeszłości, między innymi słynne Collegium Hosianum, założone przez kardynała Hozyusza. Frombork dumny jest z wieży starożytnej, w której ongiś mieszkał Mikołaj Kopernik. Do wybuchu wojny archiwum w Fromborku posiadało zbiory listów Dantyszka, Hozyusza i Kromera.

Niezwykle pięknie i romantycznie nad Łyną jest położony Licbark Warmiński. Malowniczym położeniem i wspaniałą budową zwraca na siebie uwagę zamek biskupi w Licbarku, gdzie przed wiekami rezydowali: Dantyszek, Hozyusz, Kromer, Andrzej Batory, Piotr Tylicki, Jan Olbracht i Ignacy Krasicki.

Ludność Warmii i wogóle Prus musiała mieć niezwykle hart duszy i ciąga aby tyle walk stoczyć w obronie wolności przeciw przemocy najczłowieczniej niemieckim. Postępowa, znała uprawę roli jeszcze przed przybyciem Krzyżaków.

Dr Wojciech Kętrzyński, w jednym ze swych cennych szkiców z Prus Wschodnich, drukowanych w lwowskim „Przewodniku naukowym i

literackim“ z końca ubiegłego stulecia stwierdza, że już od najdawniejszych czasów istniał żywioł polski w Prusach, podkreślając, że nie ulega najmniejszej wątpliwości fakt, że całe pogranicze polsko-pruskie począwszy od Elku, z miastami Janowo, Ryn, Szczesno, Ządzborok, Pasmymi, Dźwierzuty, Szczytno, Wielbark, Nidbork, Dąbrówno, Olsztyn, aż po Lubawę, również jak cała ziemia chełmińska były pierwotnie polskie. Dziś powiaty olsztyński, z miastami Olsztyn i Wartembork, oraz powiat restelski z miastami Reśla, Biskupiec i Bisztynek są niemal całkowicie polskie. W okolicach Licbarka (Heilsberg) i Gutstatu lud mówi doskonałą staropolszczyzną.

Rozgromienie potęgi Zakonu na polach Grunwaldu i Tannenbergu jest punktem zwrotnym w dziejach Prus. Zmienia całkowicie oblicze tej ziemi i przeobraża ustrój polityczny, tak, że losy biskupstwa warmińskiego łączą się z Prusami Zachodnimi nierozważnie z dziejami Polski. Przyłączenie Warmii do Rzeczypospolitej to okres najświetniejszego rozwoju — życie zaczyna płynąć wamtkim nurtem, rozbudza we wszystkich warstwach, jak najprzychylniejsze nastawienie dla Polski — nasze prądy kulturalne, przenikają wszędzie, język polski jest powszechnie panujący, tak, że z czasów krzyżackich szlachta niemiecka zupełnie spolszczyła się. W tym też leży wytłumaczenie, że z ludności warmińskiej wyszli ludzie, którzy w zacieklach zapasach z Zakonem niemieckim i w dziejach prusko-polskich zajęli najwybitniejsze stanowiska. Wspomnimy choćby o Janie Bażyńskim, wojewodzie ziem pruskich i jego braciach, którzy w związku stanów pruskich odgrywali tak zaszczytną rolę polityczną. Warmia natomiast wychowała rod Feldenów-Zakrzewskich z których Karol był wojewodą chełmińskim 1483—1498), rod Ma-

chewiczów, z których Ota piastował godność wojewody gdańskiego (1461—1478). Z Warmii pochodzi Luzyński, potomkowie starej rodziny niemieckiej von Merckischen Rade; z Warmii wywodzą się jeszcze wiele rodzin znakomitych i zastępujących dla sprawy polskiej, jak Kalksteinowie (przedstawiciel tego rodu starosta wabrzeski Kalkstein został zamordowany w r. 1939 przez Niemców w Nielubiu. pow. wabrzeski), Lichtyanowie, Watzelrodowie i inni.

Obyczaj ludności warmińsko-polskiej nie różni się wcale od zwyczajów w całej Polsce, ma jednak swe wybitne odrębności regionalne, które stanowią bogactwo kulturalne tego szerepu polskiego

W ustach ludu warmińskiego żyją po dzień dzisiejszy dawne nazwy poszczególnych miejscowości Prus, których na próżno szukałobyśmy na mapach czy w piśmiennictwie niemieckim. Tam są one zmienione, lub zastąpione innymi. Narzucone urzędowo nazwy niemieckie, lud przeobraził według swego języka, dając im charakter polski.

Rozgadała się najpiękniejszą mową polską dziś Warmia cała! Nie wiem czy w Polsce jest teraz zakątek taki, w którymby słowo polskie tak uroczyście grało i było tak dziwnie czyste i dziewicze. Podchwycyli je już nie miasta same, ale jeziora, lasy i pola. Mam wrażenie, że gdy w Braniewie, czy Fromborku lub Olsztynie po polsku zagadają to podchwytuje ten głos cała Warmia i niesie swe dźwięki światu, by słyszał ją taką piękną mową polską mówi znów swobodnie ziemia Kopernika i Hozyusza i by nikt nigdy więcej, póki chociaż jeden kamień przeszłości na Warmii będzie, choć jeden cień grobowców sławy naszej strzec będzie, nie śmiał pomyśleć o targnięciu się na polskość tego kraju.

KRONIKA ŻYCIE ARTYSTYCZNE STOLICY POMORZA

Literatura

W ostatnich latach przed wojną Bydgoszcz za wzorem Poznania dokonała ogromnego wysiłku w dziedzinie krzewienia literatury wśród społeczeństwa. Odbywały się regularnie popularne platformy wieczory „Rady Artystyczno-Kulturalnej“, na których przemawiali lub czytali swe utwory najbardziej znani współcześni pisarze. I zdaje się, że wybił się kilku młodych poetów i prozaików ponad przeciętność w dużej własnie mierze było skutkiem nawiązania tak żywego kontaktu z literaturą ogólnopolską.

Nie dziw więc, że te nieliczne osoby, które pozostały w czasie okupacji w Bydgoszczy wśród przedrzeźnionej katastrofalnie inteligencji, a które należały do grona organizatorów miejscowego ruchu literackiego, z przerażeniem konstataowały kompletny zanik wszelkich nawet pozorów życia kulturalnego w sterroryzowanym mieście.

Dziś nic nie pozostało już z tych nastrojów. Powoli zaczęli powracać wszyscy niemal dawni pracownicy i organizatorzy kultury i obecnie oprócz dwóch najbardziej zasłużonych: maj. Południowskiego, niestrudzonego prezesa przedwojennej Rady Art.-Kult. i zamordowanego przez wroga cenionego krytyka i inicjatora „platformy“ literackiej — Henryka Kumina, nie brak już chyba nikogo. Za to przybyli częstokroć ludzie nowi, którzy z zapałem przyłączyli się do pracy nad odbudową i rozwojem życia kulturalnego i literackiego.

I okazało się, że straty kultury nie były tak wielkie, i niepowetowane, jakby się zdawało. Biblioteka Miejska, do której wstęp przez blisko sześć lat był Polakom wzbroniony, pierwsza otworzyła swe podwoje dla mas i dzisiaj, po dokładnym uporządkowaniu, niewielkie tylko wykazuje ubytki w książkach polskich i cennych zbiorach.

Dłuższego było potrzeba czasu, by odrodzić ruch literacki. W maju jednakże można już było przystąpić do stworzenia organizacji, która by podjęła prace na tym ważnym odcinku życia kulturalnego. Powstał Klub Literacko-Artystyczny, a Zązand w osobach woj. Zygmunta Felczaka, Mariana Turwida, dr Jana Piechockiego, Alfreda Kowalkowskiego i Zofii Pietrzakowej, Alfreda Kowalkowskiego i Zofii Pietrzakowej przy wydajnej pomocy Naczelnika Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, prof. Jerzego Remera, mogli już w czerwcu przystąpić do urządzenia regularnych wieczorów literackich.

„Srody Literackie“ Klubu Lit.-Art. cieszą się już dzisiaj taką popularnością, że na ogół brak

miejsca dla wszystkich miłośników literatury w obszarnej bądź co bądź sali „Hotelu pod Orłem“. Gorątkowo więc pracuje się nad oddaniem do użytku nowej siedziby Klubu — „Domu Sztuki“, który z wielkimi swymi salami odczytowymi i wystawowymi będzie może najpiękniejszym gmachem poświęconym sztuce w Polsce i stanie się niewątpliwie głównym ośrodkiem promieniowania kulturalnego i artystycznego na Pomorzu.

Kilkanaście „Śród Literackich“ dotychczas urządzonych sprawiło, że społeczeństwo bydgoskie zrozumiało rolę kultury w życiu społecznym, to też Klub Lit.-Art. w przyszłej swej siedzibie zamierza zorganizować kilka innych cykli imprez artystycznych, aby zaspokoić potrzeby najszerzych warstw.

Pierwsza „Sroda Literacka“ była wspólnym wieczorem autorskim pisarzy bydgoskich. Wzięli w niej udział: Jan Piechocki, Zygmunt Felczak, Jerzy Remer, Marian Turwid, Jerzy Stefan, Józef Kołodziejczyk, Alfred Kowalkowski, Stanisław Boruń, Janina Derynżanka, Krystyna Wrochno, Franciszek Grott. Wcześniej nawiązano też kontakt z Toruniem, bo już na drugim wieczorze literackim, poświęconym Orzeszkowskiej, oprócz Stanisława Ziemiała przemawiał prof. Konrad Górski dając wszechstronną ocenę twórczości wielkiej pisarki. Z kolei odbył się wieczór autorski Tadeusza Łopalewskiego, który przedstawił m. in. bogatą swą twórczość z okresu wojny. Następna „Sroda“ odbyła się pod gołym niebem. Prof. Jerzy Remer mówił u stóp najpiękniejszego zabytku gotyckiego w Bydgoszczy o budownictwie średniowiecznym, wprowadzając słuchaczy w tak mało u nas znane tajniki sztuki i architektury gotyckiej. Z kolei zaprezentował się Bydgoszczy poeta poznański, Eugeniusz Żytomirski, liryk szczerzy o szerokiej skali ekspresji. Z najnowszych prądami poetyckimi zapoznał miłośników literatury Józef Maślinski w prelekcji o czołowych twórcach awangardowych. Dalej Jan Piechocki, krytyk literacki i teatralny, sumiennie zilustrował twórczość Boga-Zeleńskiego a zwłaszcza jego znaczenie jako tłumacza literatury francuskiej. Świetnym wprowadzeniem w nurtujące obecnie w literaturze zagadnienie realizmu były prelekcje Aleksandra Dzienskiego w związku z rocznicą śmierci Honoriusza Balzaca. Następna „Sroda“ poświęcono najogólniejszym kwestiom społecznym i kulturalnym. Zygmunt Felczak okazał się tu wnikliwym i śmiałym publicystą, a jego uwagi o źródłach mocy nowoczesnego państwa sprawiły wielkie wrażenie. Przekrój twórczości literackiej lat ostatnich dał Alfred Kowalkowski w ilustrowanej recytacją prelekcji o literaturze w czasie okupacji.

Właściwie sobie perfekcją formy opanował słuchaczy prof. Konrad Górski w szkicu o hymnach Kasprowicza będącym jednocześnie zobrazowaniem ewolucji twórczej wielkiego poety kujawskiego. Chopinowi poświęcono była pierwsza „Sroda“ październikowa. Marian Świdow, opierając się na nowych źródłach hiszpańskich, opo-

wiedział ciekawie szczegóły pobytu Chopina i G. Sand na Majorce. Ilustracja muzyczna właściwie dobrana wytworzyła tu nastrój, stanowiący specjalny urok „Śród literackich”, które niemal zawsze urozmaica się artystycznymi recytacjami, najczęściej w wykonaniu J. Pietrowicza. Urządząco także wieczór autorski poetki poznańskiej Alicji Iwańskiej, która przedstawiła oryginalne utwory o nastawieniu typowo intelektualistycznym.

Wreszcie największym sukcesem Klubu był wieczór poświęcony twórczości Kazimierza Przerwy Tetmajera. Adam Grzymała Siedlecki, przyjaciel zmarłego niedawno poety, dał tu mistrzowską ocenę działalności pisarskiej Tetmajera ilustrowaną nieznanymi często szczegółami biograficznymi.

„Środy literackie”, pozyskując literaturę najszersze rzesze miłośników, spełniają w ten sposób w najlepszej formie swe zadanie społeczne w odróżnieniu ruchu kulturalnego i umysłowego ziem pomorskich. (K.)

Teatr

Gmach Teatru Miejskiego w Bydgoszczy uległ w czasie działań wojennych zniszczeniu. Pozostający do dyspozycji bydgoskiego zespołu artystów budynek teatru letniego w znacznej mierze ogranicza możliwości techniczne. W obliczu zbliżającej się zimy fakt powyższy staje się coraz bardziej niepokojący. Teatr pod kierownictwem dyr. Aleksandra Rodziewiczza od chwili inauguracji wystawił szereg sztuk z tradycyjnego repertuaru, wśród nich „Zemstę” Fredry i „Wesele Figara” Beaumarchaisa. Nie zawsze naturalnie utwór dramatyczny znalazł nieskazitelną wydźwięk teatralny, ale w każdym razie był chlubnym świadectwem szczerzej intencji dyrektora, hołdującej niekiedy śmiałej zasadzie „mierzyć siły na zamiary”. Przez wystawienie „Panny Malczewskiej” Zapolskiej wprowadzony został na scenę fragment z życia klasy mieszczańskiej, zagrożonej wewnętrznym rozkładem wskutek moralnej gangreny, ucieleśnionej w postaci starego Dauma. Szczególnym powodzeniem cieszyła się komedia „Ostrożnie świeżo malowane” René Fauchois’a zbliżona swym charakterem społecznym do utworu Zapolskiej, ale różniąca się od niego pogodną ironią, powściągliwym sarkazmem i bezbroskim humorem. Jasna i przefryzta satyra, zawarta w sztuce, demaskuje wybornie hipokryzję mieszczańskiej moralności, natrętą sobsiedbałość i egoizm, snobistyczne tęsknoty i marzenia, arystokratyczne dasy i manery. Zgola inne wrażenie wywołała komedia Jamesa Montgomery’ego „Dzień bez kłamstwa”, która w ujęciu scenicznym przybrała postać krzykliwej groteski, opartej na niewybrednym i prymitywnym konfessie, sięgającym czasów Plauta. Był to przykład owej „muzy podkasanej”, drapieżnej lekkim a frywolnym truchcikiem za swą podstarzała siostrzycą. Prawdziwy natomiast sukces odniósł teatr w „Maturze” Wł. Fodora która, ironizując formalizm i rygorystyczny dogmatyzm pedagogiki, dzięki umiejętnej reżyserii Strzeleckiego pozbyła się przejawów i efekciarskich nonsensów.

Do „Maturze” teatr wystawił trzyaktowy dramat pióra Zofii Nałkowskiej pt. „Dzień jego powrotu”. Sztuka Nałkowskiej wniosła ze sobą na scenę surowy powiew starożytnych tragedii greckiej. Jest to niejako chmurna i posępna muza Sofoklesa, stąpająca bez maski i koturnów po deskach nowożytnego sceny. Ten uparty demon zbrodni, który zagnieździł się w duszy Ksawerego Heckiego i straszy nie tylko jego najbliższe otoczenie ale i widza, przypomina „Króla Edypa”, spełniającą przez swe zbrodnie wolę nadprzyrodzonych potęg. Ksawery, skazany na cztery lata więzienia za zabójstwo człowieka, wraca do swej żony Moniki, by rozpocząć nowe życie rodzinne. Niestety, porażony fatalną manią zabijania, nosi w sobie nadal zbrodnicze skłonności, staje się niejako ofiarą własnych ofiar, psychopata, daremnie szukającym w swym środowisku przebaczenia za występki, które musiał popełnić. Autorka nie porzeka stając jedynie na tej śmiałej operacji psychologicznej, lecz w dalszym ciągu nęka swego bohatera, wydając go na łup nowoczesnej eryndi, której głosem przemawia Dominik, ojciec Ksawerego. Szorstka i bezkompromisowa postawa ojca budzi w duszy syna upiorną świadomość faktu, że żywi „w sobie zdolność zabijania. Daremnie rozpaczający Ksawery powtarza: „ojciec nie powinien tego mówić” — gderliwy głos starca rozpełzał zbrodnicze instynkty i wyzwolił z dna skazanej duszy dawnego upióra zbrodni. Następuje nowe morderstwo, dokonane na osobie rywala... D’amat kończy się tragicznym zgrzytem: w pokójku rozlega się rozpaczliwy płacz siostrzenicy Moniki a gdzieś w pobliżu stychać jakoby szczyrzy śmiech demona zbrodni... Oto makabryczna scenka, w której ziośliw fatum na skłnienie autorki wyprawia szatański bal. Mimowolli jednak nasuwa się pytanie, gdzie uwieżyły owe siły konkretne, które ostatecznie wpłynęły na wpaczenie świadomości Ksawerego? Jak wytłumaczyć owe dzwiałki psychologiczne, stanowiące dramatyczne perypetie sztuki, opartej na irracjonalnych przesłankach, graniczących w swym skomplikowaniu niemal z fikcją? Ja-

ki jest cel demonstrowania niejasnych stanów patologicznych, wprowadzonych do utworu metodą delus ex machina? Jest to wprost oportunistyczna ucieczka od trzeźwego dramatu problemów w krainę fantazji, ignorującej poczucie rzeczywistości w celu ułatwienia literackiego przedsięwzięcia i zadośćuczynienia pasji dramatyzowania. To grzebanie się w podświadomości człowieka w stylu Przybyszewskiego poddyktowane jest także gonitwą za efektem teatralnym, którego istotnie nie można odmówić sztuce. Dramat, nie rozwiązując żadnego problemu, posiada wartość formalną jako objaw prawdziwej dynamiki intelektualnej, dostarczającej widzowi silnych przeżyć i wzruszeń. W tym znaczeniu gorzej on nad innymi widowiskami, opartymi na takim a niezbyt wybrednym efekcie. Jeżeli natomiast chodzi o inscenizację i reżyserię, to słuszone uznanie należy się Z. Modrzejewskiej, która podała widowisko w najwymowniej sformie, t. zn. wydobyla z niego całą duszę. Strzelecki (Ksawery) dzwiał w sobie z głębokim wyczuciem artystycznym owe monstrum psychologiczne, wycienowując umiejętnie wszelkie jego tragiczne konwulsje. Niczego nie przeżyła szczerze dramat Moniki, uwypuklając trafnie jej szamotaninę się w sidiach dwóch uczu i udręce wyboru między Ksawerem a Tomaszem. Barczewska (Bronia) ujęła widowiskowo wielką swobodą artystyczną, którą dysponuje z łatwością w kreacji najróżnorodniejszych postaci sceniczych. Guttner (Dominik) i Wielicz (Tomasz) uzupełniali dobrą grę całego zespołu.

Ostatnio na scenie bydgoskiej ukazał się reportaż sceniczy Kazimierza Wroczyńskiego p. t. „Nie ginęła” oraz „Moralność Pani Dulskiej”. Reportaż o charakterze społeczno-propagandowym w szeregu obrazach, wykonanych z fotograficzną dokładnością, odtworzył przed oczyma widza ponurą wizję koszmarną przeszłości okupacyjnej. Autor reportażu nie uniknął z konieczności pewnych uproszczeń teatralnych, widocznych zwłaszcza w strukturze psychologicznej postaci. Na ogół jednak utwór przedstawia dość wiernie fragment gehenny narodu polskiego w okresie hitlerowskiego terroru a zwłaszcza — bohaterskiej stolicy po upadku pamiętnego powstania. Bogaty świat społecznych typów i indywiduali, dobrze znanych z okresu okupacji, odtworzył zespół artystów w sposób zadowolający.

Sztuka Zapolskiej (Moralność Pani Dulskiej) o zacięciu satyryczno-naturalistycznym bez osłonek i skrupułów zdiera z oblicza mieszczaństwa maskę obłudnej moralności i cynizmu. Z każdego słowa pani Dulskiej bije fałsz i wulgarny materializm, tak jak w każdym kącie jej domu ziewa nuda i apatia bezideowego i filisterskiego życia. Choć hegemonia mieszczaństwa dziś już należy do przeszłości, to jednak owa „duszyzna” w postaci psychologicznego spadku niegdyś panującej klasy żyje nadal wśród nas, spotęgowana okupacyjną demoralizacją. Realizacja sceniczna w wykonaniu Modrzejewskiej miała należyte ramy. Morozowiczowa z głębokim artystycznym odtworzyła typ zmanierowanej i zepsutej mieszczyki oraz podkreśliła każdy nerw jej wypaczonej psychiki. Reszta zespołu z nielicznymi wyjątkami wywiązała się ze swych ról bez zarzutu.

Aleksander Dzienisłuk

Muzyka

Bydgoszcz, podobnie zresztą jak Łódź, była przed wojną miastem typowo przemysłowo-handlowym, tętniącym innym od kołysanek i menuetów rytmem. Ludzie zahartowani pracą — pracę najwyższej cenili i to realnie przynoszącą korzyści. Nie więc dziwnego, że Muzy innych sobie szukały kolebki: w średniowiecznym Krakowie, słonecznym Lwowie, czy Wilnie, mieście wieszczów i geniuszów. W Bydgoszczy zostawali rzemieślnicy o moomych nerwach i pionierzy, noszący na swych sztandarach hasła „irrealne”, że nie samym chlebem żyje człowiek... Tym pionierom nie udało się wprawdzie przeorać do gruntu psychiki całego społeczeństwa bydgoskiego, lub — uogólniając — pomorskiego. Udało się jednak stworzyć podwaliny pod gmach zrozumienia sztuki i wywołać gład tychże irrealnych „mamidel”. W wyniku ofiarnej pracy pionierów, w latach 1937—1939 Bydgoszcz rozbrzmiewała wspaniałymi akordami orkiestry symfonicznej, doskonałymi chórów w oratoriach Orlando di Lasso, Mozarta, Verdlego czy Palestriny, kwartetów, kwintetów itd., a przede wszystkim rozbrzmiewała muzyką polską... Niemcy w pierwszych rządzie na te zdołbyce narodowo-kulturalne i osiągnięcia artystyczne skierowali swą nienawiść.

wielu pionierów i fanatyków Euterpy i Terpsychory zapłaciło za swą pracę krwią, wielu tuła się jeszcze dziś po obcych ziemiach i miastach. Ci, którzy wrocili, zrzeszyli się w wspólnym umiowaniu sztuki wokół Miejskiego Konserwatorium Muzycznego, by kontynuować rozpoczęte dzieło i przyjąć do swego grona innych chętnych, burzą dziełowa zapędzonych do Bydgoszczy, muzyków. Konserwatorium Bydgoskie — chłuba Ziemi Pomorskiej — przystąpiło do pracy już w pierwszych dniach marca br., zawdzie-

czając swe istnienie niespożytej energii dyr. I. Jahnkowej, prof. F. Kryslawiczowej, prof. F. Dąbrowskiej i insp. A. Dachtery. Dziś wre wycieczona praca 28 profesorów i 541 uczniów przyjętych z przeszło 1000 kandydatów, skupionych w klasach fortepianu, skrzypiec, śpiewu, wiolonczeli, organów, muzyki kameralnej, teorii i kontrapunktu na kursach wyższych, średnich i niższych. Konserwatorium boryka się z ogromnymi trudnościami. Pozbawione subwencji i subsydiów zdane jest wyłącznie na własne siły. Może się jednak poszczycić wspaniałymi sukcesami, z których największym jest samo istnienie, a następnym Koncert Uczniów Konserwatorium, który odbył się 30 lipca br. w przepięknej po biegi sali Teatru Polskiego. Trzy tylko uczelnie mogą poszczycić się podobnym sukcesem, t. j. Łódź, Lublin i Bydgoszcz.

Drugim ośrodkiem muzycznym miasta — to Polskie Radio, które zorganizowało Małą Orkiestrę Symfoniczną, przeobrażając się obecnie pod dyktando prof. A. Relebia w duży zespół, załóżkę przyszłej Filharmonii. Przed mikrofonem Polskiego Radia występują niemal wszyscy muzycy bydgoscy, znajdując zrozumienie, poparcie i pomoc dyrektora.

Tzeczim ośrodkiem żywotnym to Orkiestra przy Woj. Urzędzie Informacji i Propagandy, pod dyr. Cz. Nowakowskiego. Skupia ona muzyków kawiarnianych, których polkażna liczbą przebywa w Bydgoszczy, niosąc im opiekę i zatrudnienie.

Przy Klubie Literacko-Artystycznym powstała też Sekcja Muzyczna, która swą pracę, zakrojoną na większą skalę, rozpoczęła po odremontowaniu Domu Sztuki. Przewodniczącym są wieczory muzyczne w przekroju historycznym, wieczory kompozytorów pomorskich, bydgoskich i inne.

Muzycy bydgoscy skupiają się w Związku Zawodowym Muzyków R. P. Oddział Bydgoszcz, którego nowy zarząd został wybrany w dniu 2. września br. w składzie: niżej podpisanego, dyr. I. Jahnkowej, prof. H. Kruppe, St. Kozłowskiego i R. Szulca. Przy Zw. Zaw. Muzyków powstało Biuro Koncertowe na Woj. Pomorskie, mające za zadanie troskę o interesy koncertujących kolegów, oraz sprowadzanie najlepszych artystów krajowych i zagranicznych. Z inicjatywy Blura Koncert. mieliśmy możność usłyszenia światowej stawy polskich artystów: I. Dubiskiej, E. Umińskiej i St. Szpinalskiego. Ono też urządziło szereg koncertów dla gimnazjów, szkół zawodowych i powszechnych. Możliwość na przyszłość są duże, plany ogromne, jeśli się tylko da pokonać trudności, związane z brakiem odpowiedniej sali oraz marazm społeczeństwa, stanowczo przynoszącego rewie i występy tanich kabaretów nad muzykę poważną.

Istnieją też w Bydgoszczy mniejsze ośrodki muzyczne, jak kolejowy chór „Hasto”, świącący 2. 10. br. 25-letni jubileusz swego powstania i orkiestra Zw. Zaw. Kolejarzy. Mamy też chóry kościelne, orkiestry wojskowe, uczniowskie i inne. Ostatnio wchodzi w rachubę koncerty religijne w kościołach bydgoskich, co waleńie przyczyni się do umuzykalnienia społeczeństwa, jeśli tylko będą stały na wysokim poziomie.

Dużo jeszcze leży cieni i kamieni na drogach muzyki bydgoskiej, lecz od tego młode serce i ramię, by trudnościami usuwać.

Jerzy Jasieński.

RUCH KULTURALNY W TORUNIU

Kulturalny Toruń energicznie zabrał się do roboty i dziś wyzwał z okresu prowizorium. Życie kulturalne grodu Kopernika jest już znormalizowane, a osiągnięcia w dziedzinie artystyczno-literackiej i naukowej są bardzo poważne.

Miasto czerwonych murów, śpichrzów, kamienic i kościołów (w których ciałe jeszcze znajdują badacze zapomniane cenne dzieła sztuki), gotyckie miasto z ozdobami renesansu i baroku, chlubi się nie tylko swym wspaniałym wyglądem architektonicznym, lecz przede wszystkim swymi księgozbiorami, archiwami i muzeami.

Najcenniejszy księgozbiór Torunia — to Książnica Miejska im. Kopernika, której zarząd po nieodżałowanej pamięci dyr. Z. Mocarskim objął dr Stefan Burhardt. Biblioteka ta obejmuje 130 tysięcy tomów, w tym większość druków pomorskich i pomoroznawczych — począwszy od średniowiecznych inkunabułów poprzez roczniki dawnej prasy pomorskiej i na dziełach doby ostatniej skończywszy. Przy bibliotece istnieje pracownia naukowa, oraz urzędzona staniem Zarządu Miejskiego Czytelnia Ludowa. Prócz Książnicy Miejskiej im. Kopernika posiada jeszcze Toruń Bibliotekę Wydziału Pomoroznawczego Instytutu Bałtyckiego, cenna Bibliotekę OO. Redemptorystów na Białanach, liczącą 35 tysięcy tomów, Bibliotekę Kuratorium Szkolnego Okręgu Pomorskiego i szereg księgozbiorów pomniejszych. Pracownicy bibliotek toruńskich zorganizowali się w Kole Pomorskim

Przy miejscowym dzienniku ukazują się nawiązujący do tradycji dawnego „Piasta” dodatki literackie, zasilany niemal całkowicie artykułami członków Towarzystwa.

Stałe „środy literackie” zainaugurowano wprawdzie dopiero w sezonie jesiennym, lecz i przed tym odbywały się sporadyczne wieczory literackie, z których na uwagę zasługują wieczory autorski Mariana Turwida. Z „śródliterackich” wymienić należy prelekcję H. Wieszka na temat nowych prądów w literaturze polskiej ostatnich lat, dalej wieczór kasprowiczowski z wykładem prof. Konrada Górskiego i wreszcie odczyt dr Aleksandra Rogalskiego.

Niemniej ruchliwy jest Oddział Związku Zawodowego Muzyków, który oprócz orkiestry dętej organizuje także orkiestrę symfoniczną.

Plastyki kujawscy urządzili już swoją doroczną wystawę, na której zgromadzili blisko 200 obrazów. Poważnym wkładem w dzieło popularyzacji kultury plastycznej były stałe pogadanki o sztuce odbywające się przez cały czas trwania wystawy.

W trakcie organizacji znajdują się Muzeum regionalne kujawskie, które musi jednak zaczynać pracę od podstaw, Niemcy bowiem zniszczyli zbiory całkowicie. Powstać ma także szkoła muzyczna, najwięcej jednak trudu wkłada się w odbudowę biblioteki publicznej i czytelnia, na które przeznaczono gmach pomieścić.

Zbliżający się obchód 700-lecia powstania Inowrocławia przewiduje w programie szereg imprez o charakterze artystyczno-kulturalnym i regionalnym. Należy przypuszczać, że liczne zamierzenia organizatorów miejscowego życia kulturalnego zostaną w tym terminie wprowadzone już w czyn.

(T. K.)

Z ZACHODNIEGO POMORZA

Równoległe do rozwoju życia gospodarczego, do organizowania się administracji, życia społecznego i politycznego budzą się i rozwijają przejawy życia artystycznego. Na Pomorzu Zachodnim żadna z tych dziedzin nie doszła jeszcze do stadium normalnego, sprawnego funkcjonowania. Składa się na to szereg przyczyn, które długo by trzeba wymieniać. W rezultacie wynika z nich jednak, że i życie kulturalne we wszystkich szych przejawach nie przybrało i przybrać jeszcze nie mogło należytych form i rozmiarów.

Ujmując te rzeczy statystycznie, najlepiej dokonaj z zakresu kulturalnego osiągnięto w dziedzinie organizacji szkolnictwa. Powstało szereg gimnazjów i liceów — w większości miast powiatowych — setki już szkół powszechnych po wsiach, w większych skupiskach osadników polskich.

Ważną sprawę, której wiele czasu poświęcić było trzeba, stanowił t. zw. „zabezpieczenie” zostawionego nam przez okupanta mienia kulturalnego. Trzeba powiedzieć, że było to mienie o dużej wartości i materialnej i historycznej, i artystycznej. „Było” — bowiem odbieraliśmy je w stanie takiego zniszczenia, takiej dewastacji, iż z bogatych zbiorów muzealnych ocalać się dało tylko szczątki. Dla wydobycia ich z gruzów i stosów śmiecia, zrekonstruowania i naprawy trzeba było zużyć wiele sił, energii i czasu.

Jeśli chodzi o organizowanie „żywego” ruchu kulturalno-artystycznego, to dyskusji podlegać może tutaj zagadnienie: czy przy organizowaniu teatrów, szkół artystycznych, orkiestr itd. stosować system improwizacji tj. tworzenia ich „aby były” i byle prędzej, czy też, decydując się na przewlekane sprawy, budować na fundamentach mocnych i solidnych. Czynniki decydujące — w tym wypadku Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki — przyjęły tę drugą zasadę i, ryzykując narażenie się na zarzuty bezczynności ze strony krótkowzrocznych krytyków, nie produkują namłastek, które w niedługim czasie wymagałyby przebudowy kosztowniejszej, niż budowanie od podstaw.

Głód polskiego słowa drukowanego zaspakajają pisma wydawane przez Urząd Informacji i Propagandy. Tak tutaj, jak i na wszystkich odcinkach naszego życia, decyduje kwestia doboru ludzi do pracy. Wychodzące w Szczecinie pismo codzienne „Władomości Szczecińskie” (jak również wydawany z inicjatywy prywatnej „Pionier”) mimo skromnej szaty zewnętrznej, redagowane żywo i umiejętnie, dobrze reprezentują prasę zachodnio-pomorską. W Koszalinie wychodzą „Władomości Koszalińskie”, budujące swą popularność na inwetywie prywatnej, mało-miasteczkowej plotce i stanowiące typowy produkt beztalentna i niefachowości. Jaskrawy objaw improwizacji, namłastek „było było”.

Głód żywego słowa — wobec trudności zorganizowania dobrego zespołu zawodowego — zaspakajają na razie bądź to występy gościnne ze-

spółów ad hoc organizowanych, bądź też amatorskie występy. Miłośnicy ruchu artystycznego coraz bardziej się ożywiają i rozwijają. Już dziś żadna uroczystość, czy obchód nie obejdzie się w żadnym niemal powiatowym mieście bez produkcji muzycznych, wokalnych, dramatycznych czy nawet choreograficznych. Napiwowa ludność osadnicza, tworząc na razie ogniska sztuki od-tworczej, stworzy z kolei, nasilana napływającymi ciągle nowymi falami migracyjnymi, środowiska twórcze i powoli powstawać zacznie nowy region sztuki, — polskie Pomorze Zachodnie. Dziś jest to jeszcze twór załazkowy, ale równoległe z rozwojem całokształtu życia polskiego na tych ziemiach i on, z pewnością, dojdzie do pięknego rozkwitu.

Tadeusz Kraszewski

PLASTYKA NA POMORZU

Ostatni najazd germański na Pomorze przypadł był na moment, gdy — po znużonych pionierskich wysiłkach entuzjastów i twórców — życie artystyczne ziem pomorskich weszło w okres wyraźnej zarysowującego się rozwoju. Związcząca w dziedzinie sztuk plastycznych. Objaw to dla ruchu kulturalnego Pomorza wlece znielenny, że właśnie plastyka a nie literatura czy muzyka szła w awangardzie twórczości rodzimej: i to — mimo raczej nie sprzyjających warunków.

Pomorze bowiem, (nie licząc krótkotrwałych prób), nie miało ani jednej uczelni artystycznej, ani jednej stałej instytucji wystawowej, ani jednej poważnej nagrody artystycznej. Odpowiedzialne za sprawę kultury polskiej ówczesne czynniki rządzące nie tylko, że nie zdobyły się na jakakolwiek inicjatywę w dziedzinie uaktywnienia polskiego ruchu artystycznego na Pomorzu, ale ignorowały każdy na tym polu wysiłek społeczny. Zorganizowane staraniem artystów i Tow. Naucz. Szkół Wyższych „Kursy Artystyczne” w Bydgoszczy, nie zdołały, niestety, rozwinąć i utrzymać swej pozytywnej działalności. Potwierdziły jednak potrzebę istnienia uczelni artystycznej w centrum Pomorza. Wykazały, mimo krótkiego okresu istnienia, znaczny procent uzdolnionych plastycznie młodzieży. Procent zgola niewspółmierny w stosunku do szerzącego się tu groźnie analfabetyzmu plastycznego.

Starania działaczy kulturalnych o utrzymanie uczelni artystycznej spełziły, z braku poparcia z zewnątrz — tak samo na niższym, jak wyższym szczeblu do stworzenia na Pomorzu stałej instytucji wystawowej. Jedynym ratunkiem w tym rozpaczyliwym położeniu była skromna wprawdzie ale pozytywna akcja Muzeum Miejskiego w Bydgoszczy, w którego szczyptach ramach miała jednak plastyka pomorska możliwość corocznego organizowania pokazu swych prac. Starannie wydawane, opatrzone reprodukcjami katalogi tych wystaw, to dziś cenne przyczynki do historii ruchu artystycznego na Pomorzu. Mówią one o tym do czego dożyć by mógł artystycznie region pomorski, gdyby mu systematycznie nie odmawiano pomocy. Brutalnie najazd niemiecki zniszczył — zdawało by się, całkowicie rezultaty tyloletnich ofiarnych trudów. Spalono i zrabowano znaczną część dorobku pomorskich artystów. Zniszczono im warsztaty pracy a ich samych, albo wymordowano, albo skazano na wygnanie. Ci, którym lata okupacji udało się przetrwać, wróciła obecnie aby nawiązać do przerwanej pracy twórczej, aby walczyć dalej o integralne związanie Pomorza z ogólnopolskim ruchem artystycznym.

Nie łatwa to jednak sprawa to „nawiazywanie”, gdy powracający artysta nie znalazł ani swego warsztatu, ani — ogniskujących ongi ruch artystycznego: Muzeum Miejskiego w Bydgoszczy czy lokalu „Konfraterni Artystów” w Toruniu.

W tej niemal beznadziejnej sytuacji znalazła sztuka pomorska pomoc z tej strony, z której nie znajdowała dotąd nigdy, — ze strony Państwa. Acz rozmiar tej pomocy są, ze zrozumiałych względów, nie zbyt duże, to jednak walor tej pomocy wzrasta, przez fakt przyjęcia przez Państwo z sukurem na najbardziej zagrożonych odcinkach. Odcinki te, to przede wszystkim potrzeba stałej, poważnej instytucji wystawowej oraz sprawa kształcenia artystycznego. Pierwszej z wymienionych potrzeb zaradzi niebawem „Dom Sztuki” w Bydgoszczy. Znakomite położenie gmachu, jego rozmiar i charakter jego wnętrz — pozwolą na stworzenie instytutu propagandy sztuki, mogący mieć przelomowe znaczenie w ruchu artystycznym i kulturalnym na Ziemach Pomorskich. Związcząca, że liczba osiadłych obecnie na tych ziemiach artystów jest już nader pokaźna, i tak w woj. pomorskim (bydgoskim) zamieszkało ich ponad stu. W woj. gdańskim — sześćdziesiąciu pięciu. Brak jeszcze dokładnych danych z Koszalina i Olsztyna ale i w tych województwach liczba zarejestrowanych artystów dobiega już chyba do setki. Wystawiających więc będzie sporo. Dobrze, że prócz

stałego salonu wystawowego w Bydgoszczy uruchomiony będzie niebawem salon wystawowy w Sopocie (dawn. „Kunsthalle”). Zowy ruch wystawowy zanotował już można w Toruniu: (Wystawa akwarel Duklana, wystawa członków Zw. Plast. toruńskich, wystawy pośmiertne Karndjeja i Bębnowskiego). W Inowrocławiu i w Grudziądzu wystawiali już zespołami art. plastycy zamieszkałi w tych środowiskach. W Bydgoszczy ze zbiorom swych prac wystąpił Stanisław Poznański. Z chwilą uruchomienia stałych Salonów Wystawowych można będzie wszcząć systematyczną akcją zapoznania społeczeństwa pomorskiego z całokształtem twórczości plastycznej w Polsce.

Z równie uzasadnionym optymizmem traktować można już dziś sprawę kształcenia artystycznego. Następujące uczelnie są już w końcowym stadium organizacyjnym: w Toruniu — „Sekcja Sztuki” przy Wydziale Humanistycznym uniwersytetu im. Kopernika z katedrami: malarstwa, rzeźby, witrażnictwa, grafiki, architektury wnętrz, zabytkoznawstwa i konserwacji zabytków, w Sopocie „Instytut Sztuk Plastycznych”, w Gdyni „Szkoła Malarstwa i Rzemiosł Artystycznych”, wreszcie w Bydgoszczy — „Szkoła Sztuk Plastycznych”.

Wymienione uczelnie mają niemiernie wznękie do spełnienia zadania. Mają umożliwić młodzieży pomorskiej nalkzyty rozwój jej uzdolnień. Naprawiona będzie odłąd krzywdą fejże młodzieży od wieków wyrządzona. Jakaz niezliczona liczba uzdolnionych poszła na tych ziemiach na marne. Powstające do życia instytucje przyjdą z pomocą nie tylko wybitnie uzdolnionym. Wszyscy pracownicy sztuki stosowanej i rzemiosł artystycznych będą mieli również możliwość artystycznego i technicznego kształcenia się. Słowem — wszczęta będzie na szeroką skalę zakrojona akcja konsekwentnego zwalczania analfabetyzmu plastycznego. Zwalczania złych wpływów przystoiowego pruskiego zlego smaku, pozostałych tu jeszcze w spadku po okupantach. Niemcy bowiem ustąpili, ale zostały po nich brzydkie ślady „Smętka”. Usunąć je, przeobrazić „pomieciacką”, wrogą sztuce atmosferę, wytworzyć aurę pozwalającą jak najszerszej rozwinąć się polskiej urodzie życia — oto, porywające zadanie plastyki rodzimej na pięknych ziemiach pomorskich.

Marian Turwid

AKTYWNOŚĆ KULTURALNA KASZUBÓW

Ruch regionalny na Kaszubach ma swoją długą, bo stuletnią tradycję, stąd też Kaszubi wykazywali na terenie Pomorza największą żywotność w zakresie zagadnień kulturalnych i literackich. Widać to także obecnie. Podczas gdy większość Pomorzan nie otrząsnęła się jeszcze ze skutków okupacji hitlerowskiej i tkwi naogół w pewnej bierności, Kaszubi wznowili już żywą działalność w zakresie pielęgnowania swych wartości regionalnych.

Pierwszym nawiązaniem do dorobku przedwojennego było zorganizowanie Muzeum Kaszubskiego w Kartuzach i przygotowanie Wystawy Kaszubskiej Sztuki Ludowej. Wystawa, która objęła głównie wyroby ceramiczne i hafty, była otwarta w Muzeum Kaszubskim od sierpnia do połowy października. Drugi ośrodek kulturalny pod nazwą „Dom Kultury” powstał w Puoku pod koniec października. Największą jednakże aktywność społeczną i kulturalną wykazuje trzecie miasto na północnych Kaszubach, mianowicie Wejherowo, gdzie — jak wiadomo — wychodził od początku października „Zrzesz Kaszëbsko” — pismo ludu kaszubskiego z tygodniowym dodatkiem literacko-naukowym pod nazwą „Chëcz”.

Dnia 4 listopada odbył się w Kartuzach z inicjatywy Powiatowej Rady Kultury i Sztuki „Zjazd działaczy kulturalno-społecznych Ziemi Kaszubskiej”, na który stawilo się z górą 50-ciu uczestników. Obradom przewodziła myśl uaktywnienia regionu kaszubskiego pod względem społeczno-kulturalnym, literackim i artystycznym, udostępnienia ogółowi polskiemu wartości rodzimej kultury kaszubskiej oraz skupienia dla osiągnięcia tych celów wszystkich wartościowych i zainteresowanych ludzi na samych Kaszubach jak i z poza ich obrębu. Powyższy Zjazd zrobił duży krok w kierunku zlania poszczególnych inicjatyw i przedsięwzięć w jedno tożysko.

W ramach Zjazdu odbyło się poza tym złożenie wieńca na grobie poety kaszubskiego Aleksandra Majkowskiego oraz otwarcie „Wystawy Martyrologii polskiej” ilustrowanej zbrodniemieckie na terenie Kaszub, w szczególności zaś na terenie powiatu kartuskiego.

Andrzej Bukowski.

Wydawca: Zespół „Arkony” w Bydgoszczy — Kolegium redakcyjne: Stanisław Brzeczowski, Aleksander Dzienski, Alfred Kowalkowski, Jan Piechocki, Jerzy Remer, Marian Turwid. Adres Redakcji i Administracji: Bydgoszcz, Sielanka 8. Konto bankowe: Komunalna Kasa Oszczędności miasta Bydgoszczy nr 224. Prenumerata i kolportaż: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Delegatura Pomorska w Bydgoszczy, ulica Jagiellońska 31. Cena podwójnego numeru 10,— zł. Drukarnia Polska, Bydgoszcz, Jagiellońska 19. — E-07181.